ISSN 1231-8825

ŻYCIE UNIWERSYTECKIE

nr 6 (322) czerwiec 2020

uniwersyteckie.pl

z pasją o Nauce

Nasi kandydaci

PROREKTOR DS. STUDENCKICH
PROF. BOGUMIŁA KANIEWSKA

s. 4

PROREKTOR KIERUJĄCY
SZKOŁĄ DOKTORSKĄ UAM,
PROF. RYSZARD NASKRĘCKI

s. 5

FOT. MACIEJ NOWACZYK

Moim zdaniem...

Wkrótce kolegium elektorów dokona wyboru rektora spośród dwojga kandydatów zarejestrowanych i zgłoszonych przez radę uczelni 9 marca 2020 roku. To niezwykle ważny wybór, bo przecież rektorowi powierzony zostanie uniwersytet na następne cztery (a może osiem) lat. Dlatego tak ważne jest pytanie, jakimi cechami powinien wyróżniać się rektor i jakimi przesłankami powinniśmy się kierować, dokonując wyboru.

Rektorem tak dużej uczelni jak UAM powinna zostać osoba, która bardzo dobrze zna go od środka, jest świadoma zarówno jego mocnych, jak i słabszych stron. Taką wiedzę może mieć ktoś, kto pracuje na uniwersytecie od dawna, przeszedł w nim kolejne etapy kariery zawodowej, a przede wszystkim pełnił funkcje zarządcze – był dyrektorem instytutu, dziekanem wydziału, prorektorem. Taki życiorys wskazuje na bardzo istotny element w charakterystyce kandydata, jakim jest jego doświadczenie. Tylko bazując na wiedzy o uniwersytecie i doświadczeniu związanym z wieloletnią pracą na nim, kandydat może przedstawić wiarygodny program wyborczy. Program, który będzie możliwy do zrealizowania, a nie będzie jedynie katalogiem pobożnych życzeń. Program, który będzie uwzględniał rzeczywiste potrzeby pracowników, doktorantów i studentów uniwersytetu. Program, który będzie z jednej strony uwzględniał dotychczasowe osiągnięcia i zamierzenia pracowników uniwersytetu, a jednocześnie stymulował do rozwoju, stawiając śmiałe, ale i realistyczne zadania niezbędne do dalszego rozwoju, kreując dalekosiężne cele, kreśląc wizję przyszłości nie tylko na najbliższe cztery lata.

Kandydatka lub kandydat na stanowisko rektora musi odznaczać się określonymi cechami. Przede wszystkim powinien współpracować z ludźmi uniwersytetu – członkami wszystkich

grup pracowniczych, doktorantami i studentami. Być otwartym na ich potrzeby – jak to się mówi: słuchać, co mówią, wsłuchiwać się w ich głos. Nie oznacza to, że ma zdobywać ich poparcie łatwymi, demagogicznymi zapewnieniami, zwłaszcza obietnicami gratyfikacji finansowych, lecz rzeczywiście rozumieć potrzeby pracowników, by w oparciu o ich oczekiwania kształtować przyszłość uczelni. Jednocześnie powinien pamiętać o złożonych deklaracjach i obietnicach – powinien dotrzymywać słowa. Swoją rolę winien widzieć jako ten, który ma pomagać, wspierać, doradzać, szukać najlepszych rozwiązań. Rola rektora jest bez wątpienia służebna wobec uniwersytetu i jego ludzi.

Funkcja rektora wiąże się z olbrzymią odpowiedzialnością, stąd cechować go winna powaga i rozwaga; chociaż nie powinien zwlekać z podejmowaniem decyzji, niemniej przed ich podjęciem powinien uzyskać potrzebne informacje. Nie powinien być porywczy, skłonny do połajanek i karcenia. Daleki jestem od wizji rektora, lansowanej w nowej ustawie prawo o szkolnictwie wyższym i nauce, jako osoby mającej olbrzymią władzę, która nie potrzebuje wsparcia ze strony innych bądź korzystania z porad. Wręcz przeciwnie. Kierowanie uniwersytetem musi być oparte o dobrą współpracę z prorektorami, dziekanami, kadrą zarządczą administracji i jednocześnie z gremiami kolegialnymi, takimi jak senat, rada szkoły, rady szkół dziedzinowych, rady naukowe dyscyplin. Rektorowi bliska powinna być postawa zawarta w maksymie „primus inter pares". A swoją przywódczą rolę winien kształtować w oparciu o szacunek, zaufanie i wiarygodność, a także autorytet, jakie zdobył w czasie dotychczasowej pracy. Wreszcie rektor winien zdawać sobie sprawę, że funkcja ta wiąże się z wieloma obowiązkami, całodniową pracą przez właściwie wszystkie dni tygodnia.

Pisząc te słowa, zastanawiam się, na ile sam takim rektorem jestem, a właściwie to już byłem. Nie dane jest mi poddać się Państwa ocenie w najtrafniejszy sposób – ubiegając się o reelekcję. Takie miałem plany cztery lata temu, ale „dura lex, sed lex". Wiem jednak, że wywiązałem się z jeszcze jednego zadania rektora: przygotowania swojego następcy. Pamiętam słowa przepięknej laudacji wygłoszonej w dniu wyborów 4 kwietnia 2016 roku przez prof. Józefa Tomasza Pokrzywniaka, który rekomendował moją kandydaturę ówczesnemu kolegium elektorów. Ale Tomek był powiernikiem jeszcze jednej mojej obietnicy (wtedy naszej tajemnicy): że przygotuję ówczesną dziekan Wydziału Filologii Polskiej i Klasycznej do roli następnego po mnie rektora Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Z tej obietnicy się wywiązałem, chociaż to, czy tak ostatecznie się stanie, zależy od woli elektorów i społeczności naszego uniwersytetu.

Prof. Andrzej Lesicki
Rektor UAM

W NUMERZE

ZDJĘCIE NA OKŁADCE: ADRIAN WYKROTA

OD REKTORA

2 | MOIM ZDANIEM...
Prof. Andrzej Lesicki Rektor UAM

KANDYDACI NA REKTORA

4 | DLACZEGO KANIEWSKA?
Prof. Bogumiła Kaniewska, prorektor UAM do spraw studenckich

5 | DLACZEGO NASKRĘCKI?
Prof. Ryszard Naskręcki, prorektor kierujący Szkołą Doktorską UAM

KOMUNIKATY

6 | KOMUNIKAT REKTORA UAM PROF. ANDRZEJA LESICKIEGO

NA PLATFORMIE UAM STRONA DLA KAŻDEGO

WYDARZENIA

7 | Prof. Jakub Rybka – TEN TEST ZDALIŚMY RAZEM

START 2020. SZEŚCIU STYPENDYSTÓW Z UAM

NAUKA

8 | Prof. Krzysztof Sobczak – NAUKOWCY Z UAM DAJĄ NADZIEJĘ CHORYM

9 | Dr Anna Juras – NEOLIT CZY BRĄZ, MY WCIĄŻ TACY SAMI

10 | Prof. Józef Górski – TWARDA WODA ZDROWIA DODA

11 | ZWIERZĘTA CZUJĄ POLE MAGNETYCZNE

12 | Dr Łukasz Wolski – KOLOROWY PROBLEM

13 | Dr Katarzyna Stawicka – BIOPALIWA – CZYSTA OSZCZĘDNOŚĆ

14 | Prof. Łukasz Kaczmarek – GRAMY I ROZMAWIAMY

15 | Dr Krzysztof Mączka – WYCINAĆ CZY NIE?

16 | Prof. Piotr Ziółkowski – TWORZĄC STRATEGIĘ INTELIGENTNEJ HODOWLI

18 | RURACTION ZNACZY INNOWACJA

19 | EUROPEAN LEGAL STUDIES NA WPIA
Rozmowa z prodziekanem Wydziału Prawa i Administracji UAM prof. Tomaszem Nieborakiem

20 | PRZEMOC TO NADAL TEMAT TABU
O tym rozmawiamy z Michałem Sieńskim, psychologiem z Wydziału Psychologii i Kognitywistyki

21 | ARCHIWUM CODZIENNEGO ŻYCIA
Archiwum Wydziału Socjologii UAM

22 | O GINCZANCE NAJCZĘŚCIEJ MYŚLĘ: ZUZANNA...
Rozmowa z prof. Izoldą Kiec, literaturoznawczynią z Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu

24 | PIÓRO JEST WIECZNE
Rozmowa z prof. Aleksandrem Wojciechem Mikołajczakiem, filologiem klasycznym, autorem książki „Design kleksa. Społeczna historia wiecznych piór"

26 | NORWEGOLOŻKA
Rozmowa z Anna Kurek-Przybilski z Wydziału Neofilologii UAM

LUDZIE UAM

27 | JESTEM Z TYCH, CO BUDUJĄ...
Rozmowa z Katarzyną Walą z Uniwersyteckiego Studia Filmowego

28 | STUDENTKA Z BURŻUAZYJNYM POCHODZENIEM
Rozmowa z Krystyną Koftą, rodowitą poznanianką, pisarką, publicystką i absolwentką UAM

30 | Prof. Roman Murawski – HISTORIA JEDNEGO LISTU...

Dlaczego Kaniewska?

Z Uniwersytetem im. Adama Mickiewicza w Poznaniu jestem związana od bardzo wielu lat, od chwili, gdy jako uczennica klasy maturalnej IV LO, weszłam po raz pierwszy do Collegium Novum. Tam, na drugim piętrze, mieścił się gabinet ówczesnego doktora Bogdana Walczaka, który konsultował olimpijczyków – takich jak ja – przed finałami Olimpiady Literatury i Języka Polskiego. Konsultował na tyle skutecznie, że otrzymałam indeks poznańskiej polonistyki jako laureatka tychże zawodów.

FOT. MACIEJ NOWACZYK

Prof. Bogumiła Kaniewska, prorektor UAM do spraw studenckich

Zostałam studentką, później doktorantką pierwszego rocznika studium doktoranckiego WFPiK i tak dalej, aż do stanowiska i tytułu profesora. W ciągu blisko czterdziestu lat otrzymałam od mojego uniwersytetu bardzo wiele. Po pierwsze szansę rozwoju w inspirującym i przyjaznym środowisku – najpierw polonistów poznańskich, później – z czasem – wśród znawców literaturoznawstwa i slawistyki w kraju i za granicą. Zrozumiałam, jak ważne są naukowe kontakty, dyskusje, a na pewnym etapie także opieka i wsparcie mistrza. Miałam szczęście: spotkałam na swojej drodze wspaniałych uczonych, którym bardzo wiele zawdzięczam. Wymienienie ich wszystkich przekroczyłoby ramy, jakie wyznaczyło mi Życie Uniwersyteckie na potrzeby tego tekstu, wspomnę więc tylko swoją znakomitą promotorkę, prof. Sewerynę Wysłouch oraz mentora, prof. Józefa Tomasza Pokrzywniaka. Od pani profesor uczyłam się akademickiej dydaktyki, rzetelności w badaniach i naukowego myślenia. Od Tomka: zarządzania, umiejętności rozwiązywania problemów, a nade wszystko pozytywnego myślenia niezależnie od okoliczności.

Mam wiele powodów, by czuć wdzięczność wobec uczelni, która pozwoliła mi spełnić marzenia o pracy wśród książek i – co więcej – zainspirowała także inne kierunki mego rozwoju. Dzisiaj przyszedł czas i pojawiła się okazja, by tę wdzięczność okazać, oddając choć cząstkę tego, co dostałam. Pytanie tylko, czy mam dość umiejętności i kompetencji, by zadaniu temu podołać. Ośmielę się twierdzić, że tak. Dlaczego?

Mam doświadczenie niezbędne dla zarządzania uczelnią, zdobyłam je podczas pełnienia rozmaitych funkcji, a także na studiach MBA w zakresie zarządzania uczelnią. Byłam opiekunką grupy, roku, koła naukowego, kieruję Zakładem Semiotyki Literatury oraz Wydziałowym Zespołem Badawczym Literatury Dziecięcej, pełniłam funkcję zastępcy dyrektora Instytutu Filologii Polskiej do spraw nauki. Kierowałam Wydziałem Filologii Polskiej i Klasycznej jako dziekan, wreszcie zostałam prorektorem do spraw studenckich. Zajmowałam się edukacją na poziomie ogólnopolskim jako przewodnicząca Komisji Edukacji Komitetu o Literaturze PAN, pełniłam też funkcję wiceprzewodniczącej tego Komitetu. Jako ekspertka PAN uczestniczyłam w pracach nad ewaluacją czasopism oraz oceną kształcenia nauczycieli. Brałam udział w przygotowaniu i zarządzaniu trzema ważnymi projektami: eLOCAL (wyróżnionym przez Komisję Europejską), modernizacji programów nauczania w Instytucie Filologii Polskiej (z programu POKL) oraz Uniwersytet Europejski (w ramach konsorcjum EPICUR). Wymieniam tu te swoje działania, które podejmowałam nie z myślą o indywidualnej karierze (choć przecież nie zaniedbałam jej, w 2012 roku uzyskując tytuł profesora), lecz te, dzięki którym pozostawiałam po sobie ślad w życiu społeczności uniwersyteckiej. Dobry i, mam nadzieję, wyraźny ślad.

Ślad ten tworzą sukcesy nie tyle indywidualne, co wspólnotowe. To kategoria A+ dla WFPiK w pierwszej parametryzacji, jaka odbyła się za czasów mojego dziekaństwa. To uroda Collegium Maius, którego remont – rozpoczęty i zaprojektowany przez prof. Pokrzywniaka – udało mi się nie tylko zakończyć, ale i częściowo sfinansować z wydziałowych funduszy. Innym sukcesem, stanowiącym przedmiot mojej dumy, było wyprowadzenie WFPiK na finansową prostą podczas decentralizacji. W ciągu czterech lat z wydziału z największym deficytem na UAM (remont i przeprowadzka miały swoją cenę) przekształciliśmy się w jednostkę z nadwyżką finansów. W moim prywatnym rankingu właśnie to osiągnięcie, może nie najbardziej spektakularne, sytuuję najwyżej.

Kolejne cztery lata jako prorektor poświęciłam studentom, rozwiązywaniu ich codziennych, a czasem niecodziennych problemów, wspieraniu aktywności, finalizowaniu remontu domu studenckiego Hanka, budowaniu sieci wsparcia psychologicznego. Czy było łatwo? Niekoniecznie. Mijająca kadencja to czas nowej ustawy, zmian w prawie, intensywnych dyskusji z samorządem studenckim, w końcu: pandemii. Czy wszystko się udało? Oczywiście, że nie – jak choćby kwestia tegorocznej akcji stypendialnej, podczas której zawiodło wiele elementów. Wnioski z tego doświadczenia już zostały wprowadzone w życie, a akcja pomocy socjalnej przebiega sprawnie mimo niezwykłości sytuacji.

Nie boję się trudnych czasów – ostatnie tygodnie upłynęły mi na organizowaniu życia studentów w czasie pandemii, inicjowaniu i koordynowaniu akcji wolontariackich (Widzialna Ręka UAM, obiady dla seniorów, zbiórki), udzielaniu informacji, monitorowaniu stanu zdrowia naszych studentów (a nawet, gdy trzeba było, odbieraniu ich ze szpitala). Nie boję się trudnych czasów, bo wiem, że zawsze mogę liczyć na ludzi, z którymi współpracuję, na wspaniałą uniwersytecką wspólnotę.

Dlaczego Naskręcki?

Decyzja o kandydowaniu na funkcję rektora Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu jest najważniejszą decyzją mojego życia. Podjąłem ją, mając świadomość z jakim ogromnym zobowiązaniem wobec społeczności akademickiej - pracowników, doktorantów i studentów jest ona związana. Zadaniem rektora jest dbanie o rozwój uczelni, jej godne reprezentowanie, a także troska o każdego członka naszej społeczności. Dbałość o ich dobro, chęć służenia im, stworzenie jeszcze lepszych warunków pracy i rozwoju to moje najgłębsze motywacje i główne cele. I jest to moje zobowiązanie.

FOT. MACIEJ NOWACZYK

Prof. Ryszard Naskręcki, prorektor kierujący Szkołą Doktorską UAM

Aby właściwie sprawować funkcję rektora, trzeba być do niej gruntownie przygotowanym. Mnogość różnorodnych doświadczeń oraz dobrze zdefiniowana i klarowna ścieżka rozwoju, także naukowego, a także dokonania organizacyjne i zarządcze powinny być przepustką do ubiegania się o tę zaszczytną, ale przede wszystkim odpowiedzialną funkcję. Kandydat na rektora powinien łączyć cechy doświadczonego badacza oraz świetnego menadżera, by sprawnie zarządzać uczelnią, a także aktywnie wpływać na politykę naukową państwa. Dlatego powinien być także dobrze rozpoznawalny poza swoją uczelnią, cieszyć się szacunkiem i uznaniem w polskim i międzynarodowym środowisku akademickim.

Moja droga życiowa i dokonania sprawiają, że czuję się do tej funkcji należycie przygotowany. UAM jest moim miejscem, moją Alma Mater. Tutaj studiowałem, tu przechodziłem kolejne etapy kariery akademickiej, z naszym uniwersytetem związałem całe moje zawodowe życie. Stąd wyruszałem na zagraniczne staże naukowe, ale zawsze tutaj wracałem. Pracowałem i pracuję na rzecz UAM, pełniąc różne funkcje - prodziekana ds. studenckich, dziekana Wydziału Fizyki oraz prorektora ds. nauki i współpracy międzynarodowej. Od roku buduję Szkołą Doktorską UAM.

Na bazie moich uniwersyteckich i pozauniwersyteckich doświadczeń, krajowych i międzynarodowych oraz moich różnorodnych aktywności eksperckich, a także licznych rozmów z koleżankami i kolegami profesorami, z młodymi badaczami oraz doktorantami i studentami ukształtowała się moja wizja rozwoju naszego uniwersytetu.

Uniwersytet to przede wszystkim piękna historia i pielęgnowana przez nas, ludzi uniwersytetu, tradycja. Zadbam, abyśmy mądrze z niej czerpali, gdyż nasza wyjątkowość polega na umiejętnym łączeniu uniwersyteckich tradycji z pragmatycznym dostosowywaniem się do wyzwań przyszłości. Uniwersytet jest dla mnie wspólnotą ludzi skupionych wokół poszukiwania prawdy i uniwersyteckich wartości. Zadbam o wzmacnianie naszej wspólnoty. Uczynię wszystko, aby przynależność do niej wiązała się z poczuciem dumy, ale także oznaczała wspólną odpowiedzialność za nasz rozwój.

Uniwersytet nasz, w swojej już ponad 100-letniej historii, ogromnie się zmienił, a tempo tych zmian ostatnio szybko wzrosło. Pora więc na zrównoważony rozwój i skoncentrowanie się na zadaniach podstawowych. Naszą wspólną ambicją jest z pewnością uniwersytet silny badaniami, świetnie kształcący, z dobrze wypełnianą misją społeczną i kulturotwórczą. Sprawię, że UAM będzie stawał się coraz lepszym miejscem dla uprawiania badań naukowych. Zarówno tych humanistycznych i społecznych, bez których bardzo ubogi byłyby człowiek i społeczeństwa, jak i tych z zakresu nauk ścisłych i przyrodniczych, które prowadzą do lepszego zrozumienia natury i poprawy ludzkiego życia. Dyscyplin naukowych nie należy postrzegać w relacji konkurencyjności, bo wszystkie stanowią o naszym intelektualnym bogactwie. Stworzę im stymulujące warunki do rozwoju i zadbam, aby rozwój ten następował w sposób zrównoważony. UAM potrzebuje spójnej polityki naukowej, która efektywnie połączy projekt „Inicjatywa Doskonałości – Uczelnia Badawcza" z innymi naszymi działaniami.

Intensywny rozwój badań naukowych nie może odbywać się kosztem jakości kształcenia. Będę wspierał zaangażowanych dydaktyków i rozwijał najlepsze inicjatywy dydaktyczne.

Uniwersytet jest dla mnie miejscem, w którym spotykają się mistrzowie i uczniowie, jest środowiskiem przyjaznym dla rozwoju studentów i doktorantów. Zadbam, aby mogli w sposób indywidualny zaspokajać w UAM swoją ciekawość świata, by dobrze przygotowali się do przyszłego życia. Wzmocnię samorządność studencką i doktorancką oraz studencki ruch naukowy. Uczynię wszystko, aby czuli się pełnoprawnymi członkami wspólnoty uniwersyteckiej, ale także, aby mieli poczucie odpowiedzialności, jaką niesie ze sobą partnerskie współuczestnictwo.

Uniwersytet wchodzi w nowy, bardzo wymagający etap swojego rozwoju. Dlatego potrzebuje lidera, który z jednej strony potrafi słuchać i prowadzić dialog, z drugiej zaś potrafi podejmować śmiałe decyzje. Jako rektor będę wzmacniać kolegialność akademicką, rozumianą jako wspólne podejmowanie decyzji w procesie krytycznej dyskusji oraz współdzielenia odpowiedzialności. Będę wspierał autonomię badaczy oraz jednostek organizacyjnych tak, aby uwolnić nasz potencjał i kreatywność. Dobrze wiem, że nie ma generalnych i dobrych dla wszystkich rozwiązań. Te powinny powstawać tam, gdzie najlepiej łączą się badania i kształcenie, czyli na autonomicznych wydziałach, które wspólnie realizują strategiczne cele uniwersytetu.

Zachęcam Państwa do dialogu, ale także do „współtworzenia" naszej uniwersyteckiej rzeczywistości, tej obecnej i tej przyszłej. Wspólnie sprostamy wyzwaniom przyszłości.

Komunikat rektora UAM prof. Andrzeja Lesickiego

w sprawie badań nad prześladowaniem studentów żydowskich na Uniwersytecie Poznańskim w dwudziestoleciu międzywojennym

Pragnę poinformować, że 4 października 2019 roku powołałem komisję ds. badania przypadków prześladowania osób pochodzenia żydowskiego na Uniwersytecie Poznańskim w latach przed II wojną światową. W skład komisji weszli naukowcy o ugruntowanym autorytecie, przedstawiciele różnych dyscyplin humanistyki (historii, socjologii, politologii), pracujący na naszym uniwersytecie. Są to: prof. Anna Wolff-Powęska, prof. UAM dr hab. Krzysztof Podemski, prof. UAM dr hab. Rafał Witkowski, prof. UAM dr hab. Maciej Michalski oraz prof. UAM dr hab. Piotr Forecki. Zależało mi na tym, by prowadzone nad tą problematyką badania miały interdyscyplinarny wymiar i charakteryzowały się możliwie szerokim spojrzeniem.

Obchody 100-lecia istnienia uniwersytetu w Poznaniu były świętem, przy okazji którego szczyciliśmy się doniosłymi i chwalebnymi wydarzeniami w dziejach naszej Alma Mater. Badania prowadzone z tej okazji nad historią uniwersytetu pokazały jednak, że zdarzały się w jego przeszłości także i trudne oraz haniebne momenty. W początkach istnienia uczelni taką ciemną, niezbadaną dotąd kartą dziejów Uniwersytetu Poznańskiego był antysemityzm części studentów i części kadry profesorskiej. Chcąc dać świadectwo prawdzie, postanowiłem zainicjować badania nad tą kwestią.

Wyniki prac Komisji nad antysemityzmem na Uniwersytecie Poznańskim przed II wojną światową zostaną zaprezentowane na konferencji naukowej

Wyniki prac Komisji nad antysemityzmem na Uniwersytecie Poznańskim przed II wojną światową zostaną zaprezentowane na konferencji naukowej pt. Między uprzedzeniem a przemocą. Dyskryminacja Żydów na Uniwersytecie Poznańskim w dwudziestoleciu międzywojennym, a następnie w publikacji książkowej wydanej w Wydawnictwie Naukowym UAM. Z powodu trwającej pandemii SARS-CoV-2 nie mogę obecnie ustalić daty konferencji, która pierwotnie miała odbyć się w czerwcu tego roku. O jej terminie poinformuję Państwa, kiedy tylko będzie możliwe jego dokładne wyznaczenie.

Na platformie UAM strona dla każdego

Dla wszystkich, którzy chcą stworzyć własną stronę internetową, przygotowany został przyjazny szablon oparty o system zarządzania treścią Wordpress.

Udostępniany Państwu szablon został stworzony w odpowiedzi na liczne pytania pracowników i jednostek o możliwość korzystania z szablonów stron zaprojektowanych dla UAM.

Szablon jest:

- gotowy do wykorzystania od razu,
- zgodny z identyfikacją wizualną uczelni,
- bezpłatny dla jednostek uniwersyteckich i wszystkich pracowników UAM.

Wordpress to funkcjonalny, prosty w obsłudze system zarządzania treścią, który posiada intuicyjny interfejs i spełnia potrzeby większości osób. Co ważne, jest to oprogramowanie rozpowszechniane w ramach licencji GNU GPL, a zatem nie ma konieczności uiszczania za niego jakichkolwiek opłat, również w przypadku dalszych aktualizacji.

Korzystanie z przygotowanego szablonu pozwoli uniknąć kosztów związanych z samodzielnym zamawianiem stron internetowych i pośrednictwa agencji kreatywnych. Prezentowane rozwiązanie pozwala także uniknąć kosztów projektowania wizualnego nowych stron, jak również ich bieżącej obsługi.

Szablon czeka na Platformie Hostingowej UAM, gdzie każdy pracownik nieodpłatnie może uzyskać miejsce na swoją stronę internetową, a także komfortowo i szybko ją zainstalować, korzystając z udostępnionego kreatora.

Wygląd szablonu wzorowany jest na głównym serwisie uniwersytetu amu.edu.pl. Używanie tego rozwiązania pozwoli także na zachowanie spójności prezentowanego wizerunku naszego uniwersytetu.

Jednocześnie przypominam, że za stworzenie strony, jej aktualizację, wprowadzanie treści i zawartość, odpowiada właściciel. Proszę również mieć na uwadze, że Centrum Informatyczne nie świadczy usług wsparcia w tym zakresie.

Szczegółowe informacje dotyczące Platformy Hostingowej UAM znajdziecie Państwo pod adresem **https://ci.amu.edu.pl/uslugi/hosting.**

Problemy związane z platformą należy zgłaszać mailowo do Centrum Informatycznego na adres helpdesk@amu.edu.pl, dodając w tytule listu znacznik [Hosting].

Mam nadzieję, że udostępniany Państwu szablon będzie skutecznym narzędziem w komunikowaniu i promocji Państwa dokonań oraz dorobku naukowego.

Prorektor UAM prof. Tadeusz Wallas

Ten test zdaliśmy razem

Niedawno przekazałem osobiście pierwszy pilotażowy test immunologiczny, jaki został wyprodukowany w Centrum Zaawansowanych Technologii UAM. Test trafił do prof. Grzegorza Dworackiego z Katedry Immunologii Klinicznej Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu. Będzie poddany wstępnym ocenom już na surowicy pacjentów. Byłem i jestem przepełniony dumą, że takie wydarzenie miało miejsce.

Jest to kamień milowy w osiągnięciach całego zespołu. Nie byłoby to możliwe, gdyby nie zaangażowanie merytoryczne prof. Krzysztofa Sobczaka z Wydziału Biologii oraz prace laboratoryjne, wykonane przez Adama Mielocha, dr. Filipa Porzucka, Zuzannę Rogalską, Julię Sembę oraz Tomasza Szymańskiego. Z Adamem, Julką oraz Tomkiem pracujemy na co dzień, rozumiemy się bez słów… Okazało się jednak, że nagły rozrost grupy o dodatkowe osoby nie tylko nie był problematyczny, ale zaowocował wytworzeniem czegoś niezwykłego. Przeprowadziliśmy dziesiątki godzin rozmów, przy których określenie „burza mózgów" jest eufemizmem.

O możliwościach, jakie daje test prof. Floriana Krammera, dowiedziałem się kilka tygodni temu. W niedzielę. Po krótkim namyśle spytałem moich współpracowników, czy mają chęć chwilowego przebranżowienia się. Zwykle pracujemy nad połączeniem nanotechnologii, biotechnologii i inżynierii biomedycznej. Badania immunologiczne oraz produkcja białka jest mi znana z czasów doktoratu na uniwersytecie przyrodniczym(BOKU) w Wiedniu, a mojej grupie z czasów studiów… Uwierzyliśmy jednak, że jako naukowcy jesteśmy odpowiednio przygotowani do podjęcia nowych wyzwań. Szybko udało nam się pozyskać pomoc prof. Sobczaka, jego doktorantki oraz dr. Filipa Porzucka.

Po otrzymaniu zielonego światła od władz uczelni i CZT UAM rozpoczęliśmy przygotowania do projektu. Pomogły rozmowy z prof. Raingard Grabherr z BOKU (partnerem UAM w projekcie EPICUR). Plazmid otrzymaliśmy tuż przed Wielkanocą i prace ruszyły od razu.

FOT. ADRIAN WYKROTA

Prof. Jakub Rybka, wicedyrektor Centrum Zaawansowanych Technologii i twórca zespołu badawczego

Badania nie byłyby możliwe bez wsparcia finansowego. Bardzo pomogło nam przychylne spojrzenie zarówno rektora UAM prof. Andrzeja Lesickiego, dyrektora CZT prof. Bronisława Marciniaka, jak i dziekana Wydziału Biologii prof. Przemysława Wojtaszka. Wystąpiliśmy już o granty zewnętrzne do Agencji Badań Medycznych, NCN, a w międzyczasie dotacją wspomógł nas marszałek województwa wielkopolskiego. Teraz potrzebne jest finansowanie zewnętrzne i nastanie czas wdrożenia.

Jakub Rybka

START 2020. Sześcioro stypendystów z UAM

Fundacja na rzecz Nauki Polskiej ogłosiła listę laureatów programu START – to stu najzdolniejszych polskich naukowców przed trzydziestką. Laureaci otrzymują roczne stypendium w wysokości 28 tys. zł. Mogą je przeznaczyć na dowolny cel.

Łączna suma przekazana na stypendia w tej edycji konkursu to 3 mln zł – poinformowała FNP. Program START FNP jest najstarszym w Polsce programem stypendialnym dla najlepszych młodych naukowców reprezentujących wszystkie dziedziny nauki. Jego celem jest wspieranie wybitnych młodych uczonych i zachęcanie ich do dalszego rozwoju naukowego. W programie przyznawane jest też Wyróżnienie im. prof. Adama Sobiczewskiego. Może je otrzymać laureat z wysokiej jakości dorobkiem naukowym, prowadzący badania w dziedzinie matematyki, fizyki teoretycznej bądź astronomii. W tegorocznym konkursie wyróżnieniem tym został uhonorowany **Marcin Karczewski** z Wydziału Fizyki UAM. Oprócz niego wśród nagrodzonych stypendystów z UAM znaleźli się: **Joanna Kaźmierczak,** Wydział Chemii; **Krzysztof Mączka,** Wydział Socjologii; **Oleksandr Pshyk,** Inżynieria materiałowa; **Samanta Witomska,** Inżynieria materiałowa; **Maciej Zaranek,**Wydział Chemii.

Naukowcy z UAM dają nadzieję chorym

Badania prowadzone w Laboratorium Terapii Genowej UAM wskazują na znaczny postęp w opracowaniu terapii choroby zwanej zespołem drżenia i ataksji, związanym z łamliwym chromosomem X. To ważny krok w walce z jedną z najczęstszych chorób neurodegeneracyjnych u ludzi. Prof. Krzysztof Sobczak, szef poznańskiego zespołu badawczego spodziewa się, że jeszcze latem wyniki ich najnowszych badań zostaną opublikowane w renomowanym czasopiśmie naukowym.

FOT. ADRIAN WYKROTA

Prof. Krzysztof Sobczak od lat przewodzi LTG. Wcześniej pracował w Instytucie Chemii Bioorganicznej PAN, a na staż podoktorski wybrał się do Stanów Zjednoczonych. Tam, na uniwersytecie w Rochester, przez 3,5 roku pracował pod kierunkiem profesora Charlesa Thorntona, który był jednym z pionierów koncepcji toksycznych cząsteczek RNA, odpowiedzialnych za rozwój pewnych genetycznych chorób neurologicznych. Fascynacja tematem przejawia się w pracy kierownika Laboratorium Terapii Genowej i dzisiaj. To niezwykle ważna jednostka w walce z chorobami neurodegeneracyjnymi.

– Część osób w laboratorium zajmuje się ściśle terapią genową, która zakłada, że do organizmu wprowadzany jest nowy kwas nukleinowy, mający albo powodować zaspokojenie potrzeb komórek na produkt genu, którego w nich nie ma albo doprowadzić do korekty wadliwego metabolizmu produktów zmutowanego genu – mówi prof. Krzysztof Sobczak. – W przypadku chorób genetycznych, które powodowane są mutacją genu i brakiem białka pochodzącego z tego genu, możemy zastosować sposób, który polega na jego sztucznym stworzeniu oraz wprowadzeniu do organizmu lub komórek.

Jak mówi profesor, w ramach terapii genowej mieszczą się również interwencje, które w jego laboratorium są rozwijane od wielu lat. To działania, w trakcie których wprowadzany jest nowy kwas nukleinowy albo jego analog, mający spowodować korektę działania zmutowanej wersji genu. Naukowcy, stosując strategię antysensowych oligonukleotydów, wprowadzają do organizmu bardzo krótkie, zmodyfikowane chemicznie kwasy nukleinowe. Wnikają one do komórek i tam, gdzie występuje wadliwy produkt genu, jego toksyczny efekt może być częściowo zniesiony.

– Takie podejście stosujemy głównie w monogenowych chorobach genetycznych, gdzie jeden wadliwy, zmutowany gen odpowiedzialny jest za rozwój choroby. Tak jest choćby w przypadku genu odpowiedzialnego za chorobę Huntingtona – wyjaśnia prof. Sobczak. – Zajmowaliśmy się nią przed laty. Teraz w swojej pracy skupiamy się nad innymi genetycznymi chorobami neurodegeneracyjnymi, wywołanymi podobnym i nietypowym rodzajem mutacji, jakimi są ekspansje powtórzeń trójnukleotydowych.

Jedną z chorób, nad jakimi obecnie pracują uczeni w LTG, jest dystrofia miotoniczna – choroba mięśni i centralnego układu nerwowego. Innymi są dwie różne choroby występujące u nosicieli mutacji w tym samym genie zlokalizowanym w chromosomie X – zespół łamliwego chromosomu X oraz zespół drżenia i ataksji, związany z łamliwym chromosomem X. Ta ostatnia postać choroby ma dziś w badaniach poznaniaków priorytet i to jej poświęcona jest praca międzynarodowego zespołu, która jest teraz na ostatnim etapie recenzji i niebawem ma zostać opublikowana na łamach Nature Communications.

Profesor Sobczak tłumaczy, że mutacje w chorobach, o których piszemy, zlokalizowane są w obszarach genów niepodlegających translacji (czyli przepisaniu na kodowane białko), co przed laty było wielkim wyzwaniem dla wielu naukowców, próbujących zrozumieć molekularne podstawy tych chorób.

CZAS NA TESTY

Prof. Krzysztof Sobczak uczestniczy obecnie również w pracach zespołu prof. Jakuba Rybki nad opracowaniem testów immunologicznych do wykrywania znajdujących się w krwi przeciwciał skierowanych przeciwko wirusowi SARS-CoV-2, który jest odpowiedzialny za rozwój COVID-19. Do prac na zasadzie wolontariatu oddelegowana jest również jego doktorantka Zuzanna Rogalska. Pracują nad produkcją wybranych białek tego wirusa, stosując metody biologii molekularnej i inżynierii genetycznej. – Przygotowanie odpowiednich komórek ludzkich i nadprodukcja w nich białka wirusa to część projektu, za którą jesteśmy odpowiedzialni – mówi prof. Sobczak.

Jedną z pierwszych osób, która to opisała przed 20 laty, był prof. Charles Thornton, szef naszego rozmówcy z czasów, gdy przez kilka lat pracował w USA. To on był jednym z pionierów koncepcji toksycznych cząsteczek RNA. Cząsteczek, które niosą mutację i nie są przepisywane na zmutowane białka, ale wywierają silny negatywny wpływ na biologię komórki. Takim przykładem według prof. Krzysztofa Sobczaka może być dystrofia miotoniczna, gdzie mamy do czynienia z tzw. sekwestracją białek na toksycznych RNA. Oznacza to ni mniej ni więcej, że region RNA, który niesie mutację, powoduje wychwytywanie ze środowiska pewnej grupy białek ważnych w biologii setek RNA. Białka te powinny być swobodnie rozproszone w nukleoplazmie jądra komórkowego i tam efektywnie działać, podczas gdy w dystrofii miotonicznej wiążą się one z toksycznym RNA i wspólnie agregują w niewielkich skupiskach.

– Mówimy, że jest on toksyczny, bo działa jak odkurzacz – wyjaśnia profesor. – Wychwytuje białka i lokalizuje je na swojej powierzchni. Kilkanaście toksycznych cząsteczek RNA może związać kilka tysięcy cząsteczek białka, przez co nie mogą one dalej pełnić swojej funkcji. W swoich badaniach staramy się znaleźć drogę do zniesienia tego patogennego efektu. Wynikiem tych badań jest praca, jaką w ramach europejskiego grantu napisaliśmy razem z kolegami z Magdeburga. Dotąd eksperymentalne terapie genowe, możliwe do zastosowania w centralnym układzie nerwowym, można policzyć na palcach jednej ręki. My, w trakcie swojej pracy badawczej, podawaliśmy do płynu mózgowo-rdzeniowego antysensowe oligonukleotydy, które wiążąc się z cząsteczkami RNA niosącymi mutację, częściowo znoszą ich toksyczny charakter, który leży u podstaw rozwoju zespołu drżenia i ataksji.

Elementem nowości w pracy zespołu było pokazanie, że nieznacznie zmodyfikowane, bardzo krótkie cząsteczki kwasów nukleinowych wnikają do komórek neuronalnych w takich ilościach, że wystarczają, by związać się z docelowymi cząsteczkami toksycznego RNA i wywołać efekt terapeutyczny. – Jednym z symptomów choroby jest nieprawidłowa koordynacja ruchowa u pacjentów, którzy często się potykają i przewracają – zauważa prof. Sobczak. – Testowaliśmy ten związek na transgenicznych myszach, będących modelem choroby, podawaliśmy go bezpośrednio do płynu mózgowo-rdzeniowego. Okazało się, że już po trzech miesiącach od rozpoczęcia interwencji terapeutycznej, mysz cechowała się całkowicie prawidłową koordynacją ruchową. Trzeba tu jednak zauważyć, że choroba, którą się zajmujemy, jest chorobą progresywną tzn. im dłużej człowiek żyje, tym więcej neuronów obumiera, a im więcej ich obumiera, tym większe są kłopoty zarówno z fizycznością pacjenta, jak i z jego psychiką. Pacjenci cierpią bowiem również często na spektrum autyzmu i towarzyszące choroby psychiczne, które mogą być związane z ubytkiem i nieprawidłowym działaniem wielu neuronów i innych komórek mózgu. W przypadku chorób neurodegeneracyjnych ten proces jest masowy. Im dłużej pacjent żyje, tym większe jest nagromadzenie dolegliwości neurologicznych, wynikających z obumierania neuronów. Po podaniu oligonukleotydów po 2-3 miesiącach obserwowaliśmy brak klasycznych symptomów właściwych dla tej choroby.

Choroby neurodegeneracyjne i neuromięśniowe, którymi zajmuje się zespół z UAM, powszechnie uważane są za nieuleczalne. Profesor, pytany, czy obecny stan badań pozwala stwierdzić, że pojawiło się światło w tunelu, odpowiada krótko: Jak najbardziej tak.

Krzysztof Smura

FOT. ADRIAN WYKROTA

Neolit czy brąz, my wciąż tacy sami

Niedawno na naszych łamach pisaliśmy o badaniach Laboratorium DNA Kopalnego nad dynastią piastowską. Nie liczyliśmy, że już za moment trzeba będzie wrócić do tej samej jednostki UAM, by napisać o badaniach sięgających jeszcze głębiej w przeszłość. Powodem jest publikacja w American Journal of Physical Anthropology.

– Z treści zamieszczonego materiału wynika, że ludzie zamieszkujący południowe tereny obecnej Polski ponad 4 tys. lat temu byli bliscy pod względem genetycznym wcześniejszym społecznościom z tych terenów. To świadczy o ciągłości zasiedlenia tych ziem na przełomie neolitu i epoki brązu – napisał niedawno portal Nauka w Polsce.

Naukowcy z UAM, prowadząc badania w ramach grantu NCN, kierowanego przez prof. Przemysława Makarowicza z Wydziału Archeologii UAM, przebadali pochówki z epoki brązu, a więc sprzed ponad 3 tysięcy lat. W sumie badaniom genetycznym poddano ponad 150 szkieletów, z czego 80 dało właściwy obraz DNA.

Dr Anna Juras, szefowa uniwersyteckiego laboratorium przyznaje, że to pierwsze zakrojone na tak szeroką skalę badanie, dotyczące kopalnego DNA z okresu brązu. Jej zespół ma wieloletnie doświadczenie w tego typu pracach, specjalizując się w badaniach materiałów kostnych, których wiek nierzadko sięga 8 tysięcy lat.

– Ustaliliśmy, że przedstawiciele społeczności związanych z kulturą mierzanowicką, strzyżowską i trzcinieckim kręgiem kulturowym (które istniały od 2400 do 1100 lat p.n.e.), pod względem genetycznym przypominali populacje pochodzące ze stepu z okolic Morza Czarnego oraz ich potomków, m.in. społeczności związane z kulturą ceramiki sznurowej – powiedziała dr Juras w rozmowie z portalem.

Genetyczka zwraca uwagę na wyróżniające się wyniki badań genomów mitochondrialnych zmarłych przedstawicieli społeczności kultury strzyżowskiej, którzy w pierwszej połowie II tysiąclecia p.n.e. zamieszkiwali południowo-wschodnią część dzisiejszej Polski i Wołyń.

Dr Anna Juras mówi jednak, że niewielka liczba próbek szczątków przedstawicieli kultury strzyżowskiej sprawia, że aby dać pełny obraz jej pochodzenia potrzeba dalszych badań. Liczy na to, że dzięki analizom genomów jądrowych uda się pozyskać dalsze informacje na temat pochodzenia ludności Europy centralnej z epoki brązu.

Twarda woda zdrowia doda

Herbata i kawa na miękkiej wodzie są o wiele lepsze – twierdzą niektórzy. Ale czy dla wybornego aromatu warto poświęcać zdrowie? O szkodliwości filtrów i zaletach kranówki przekonuje **prof. Józef Górski** z Wydziału Nauk Geograficznych i Geologicznych UAM.

Dwadzieścia lat temu nie odważyłabym się wypić szklanki wody prosto z kranu. Jej jakość pozostawiała wiele do życzenia: nie była ani bezpieczna dla zdrowia ani smaczna. W czasach studenckich mówiło się, że jest w niej wszystko, nawet szczurze plemniki. Tak było kiedyś, teraz woda w Polsce spełnia surowe unijne normy. Jest czysta chemicznie, mikrobiologicznie, jej dobrą jakość potwierdzają regularnie prowadzone badania. Taka woda nie musi być filtrowana. Mimo to wiele osób decyduje się dodatkowo ją oczyszczać.

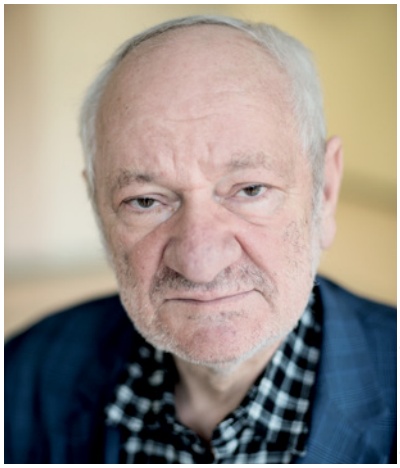

FOT. ADRIAN WYKROTA

Więcej niż 3 minivale na litr

Zbyt twarda woda, którą dodatkowo czuć chlorem, skłania ludzi do korzystania m.in. z filtrów odwróconej osmozy, co niekoniecznie wychodzi na zdrowie. – Działanie takich filtrów polega na usuwaniu składników mineralnych. W ten sposób uzyskuje się wodę destylowaną, dobrze nadającą się do podlewania kwiatów, ale niekoniecznie do spożycia przez ludzi, bo wypłukuje minerały z organizmu – podkreśla prof. Józef Górski.

Co prawda pojawiają się sugestie, że taka woda szybko usuwa związki, których chcielibyśmy się pozbyć. Owszem, jednak do systematycznego picia się nie nadaje. Poza tym jest niesmaczna. – Smak wodzie nadają jony wapnia i magnezu, których zawartość w litrze powinna zapewnić mineralizację w granicach 400-500 mg/l, (twardość powyżej 3 minivali). Są dowody na to, że woda twarda jest zdrowsza – przekonuje hydrogeolog.

Minerały krzepią

Woda miękka, która występuje na przykład w rejonach położonych blisko gór może wywoływać choroby, dlatego mieszkańcom zaleca się picie wody mineralnej. Dane z badań prowadzonych w Wielkiej Brytanii mówią o wyraźnej zależności między spożywaniem wody o twardości poniżej 160 miligramów $CaCO_3$ a wzrostem śmiertelności w wieku 35-74 lat. Podobną zależność wykazują wyniki badań na terenie Słowacji. Przyczyna nie do końca jest zidentyfikowana, może znaczenie ma niższy odczyn pH oraz wyższa zawartość metali.

Z tego ostatniego powodu nie poleca się instalowania zmiękczaczy, dzięki którym możemy używać mniej proszku do prania. Niestety coś za coś – zmiękczona woda znacznie szybciej wymywa metale z instalacji.

Filtry – do lodówki!

Popularne w wielu domach dzbanki z filtrem węglowym świetnie radzą sobie z usuwaniem chloru i żelaza z wody, ale trzeba umieć się z nimi obchodzić. Przede wszystkim pamiętać, żeby często wymieniać wkłady i szybko wypijać oczyszczoną wodę. We wnętrzu filtra, gdzie jest ciemno i wilgotno bakterie mają bardzo dobre warunki do rozwoju, dlatego zaleca się trzymanie dzbanków w lodówce. W przeciwnym wypadku lepiej z nich zrezygnować.

We wnętrzu filtra, gdzie jest ciemno i wilgotno bakterie mają bardzo dobre warunki do rozwoju, dlatego zaleca się trzymanie dzbanków w lodówce

Nie ma idealnych instalacji

Kolejny problem to stare rury doprowadzające wodę do mieszkań i domów. Z takiej instalacji mogą wytrącać się osady i szkodliwe metale. Prof. Górski z zespołem uczestniczył w międzynarodowych badaniach dotyczących przyczyn pojawiania się metali, zwłaszcza ołowiu, w wodzie z kranu u konsumentów. Naukowcy z UAM prowadzili badania w Poznaniu, Szczecinie, Choszcznie i Warszawie. Co ciekawe, problem najbardziej dotyczy bogatych krajów, dlatego że przed laty, przyłączając budynki do sieci wodociągowej, kładziono tam rury ołowiane. Ten pierwiastek może uwalniać się również z rur ocynkowanych oraz plastikowych, jeśli był stosowany jako plastyfikator przy ich produkcji.

Jednak ołów to nie jedyne zmartwienie – z instalacji wytrącają się też inne związki – miedź, żelazo, mangan, chrom, kadm. W niektórych miejscach rozpowszechnione są rury wykonane z miedzi, która nie jest tak toksyczna jak ołów, ale nie da się ukryć, że duże jej ilości również są szkodliwe. Jednym słowem nie ma idealnych instalacji, znaczenie ma nie tylko materiał, z których są zbudowane, ale też zdolności korozyjne samej wody. Ważnym praktycznym wnioskiem wynikającym z badań jest fakt, że zawartość metali jest wyraźnie najwyższa po otwarciu kranu rano po stagnacji nocnej instalacji. Dlatego rano wodę do spożycia należy nabierać dopiero po wykorzystaniu pierwszych jej partii do mycia i higieny.

Ewa Konarzewska-Michalak

Zwierzęta czują pole magnetyczne

Całe życie na Ziemi powstało i ewoluowało w obecności pola geomagnetycznego, generowanego przez naszą planetę. Na co dzień nie zauważamy jego oddziaływania głównie dlatego, że tak jak np. grawitacja, jest z nami cały czas. Inaczej jest w przypadku zwierząt, które wykorzystują pole magnetyczne Ziemi jako źródło informacji.

Zdolność wyczuwania pola magnetycznego u kręgowców wykształciła się w toku ewolucji. Ta zdolność kojarzona jest z tzw. szóstym zmysłem i jest ważnym źródłem informacji dla wielu gatunków zwierząt. Kilka lat temu odkryto, że bydło i owce, a także jelenie i dziki podczas odpoczynku układają swoje ciała niemal zawsze wzdłuż magnetycznej osi północ-południe. Ponadto nie tak dawno, bo w roku 2013, niemieckim badaczom udało się szczegółowo zbadać i opisać niezwykły mechanizm u ptaków, które fizycznie mogą dostrzegać linię pola geomagnetycznego.

– U ptaków zmysł magnetyczny związany jest przede wszystkim z wędrówkami. Jest on u nich bardzo dobrze wykształcony i szeroko używany – mówi prof. Jakub Z. Kosicki z Zakładu Biologii i Ekologii Ptaków Wydziału Biologii UAM. – Ptaki działają w dwóch systemach. Pierwszy z nich jest oparty na magnetosomach; drugi, nowszy ewolucyjnie, działa przez kryptochromy i to właśnie dzięki nim ptaki widzą linie pola magnetycznego – dodaje Weronika Erdmann, doktorantka z Zakładu Taksonomii i Ekologii Zwierząt Wydziału Biologii UAM.

Chociaż ptaki działają w dwóch systemach, to kluczem do rozwiązania zagadki jest kryptochrom, czyli białko, które znajduje się w czopkach siatkówki oka i reaguje na niebieskie oraz ultrafioletowe światło. Wpływa ono też na czułość siatkówki, tak więc linie pola magnetycznego bezpośrednio nakładają się na widziany przez ptaka obraz w postaci łagodnych zmian jasności.

Magnetyczna fizjologia

Jednak kryptochromy występują nie tylko u ptaków. Molekuły te obecne są również m.in. u drapieżników, takich jak wilki, niedźwiedzie, lisy i borsuki A co ze zwierzętami domowymi? Choć koty ich nie mają, to posiadają je psy, których zmysły ukierunkowane są na północ.

– Jak wiadomo, psy w prostej linii pochodzą od wilka szarego. Gatunek ten zasiedlał i nadal zasiedla wiele ekosystemów Eurazji i Ameryki Północnej. Takie szerokie spektrum wybiórczości środowiskowej wymusiło powstanie unikalnego systemu przestrzennej orientacji. Wiemy, że wszystkie psy mają bardzo dobry zmysł węchu, ale ten kanał komunikacji i pozyskiwania informacji przestrzennej jest, niestety, mało pojemny, ponieważ zapachy są ulotne. Najprostszym sposobem było więc orientowanie się na podstawie zmysłu geomagnetycznego. Geomagnetyzm po prostu efektywnie uzupełnia inne psie i wilcze zmysły – mówi prof. Jakub Z. Kosicki.

Niedawno badacze z Izraela, z Zakładu Biologii i Ekologii Ptaków UAM i z Instytutu Zoologii Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu przeprowadzili badania, w których sprawdzali zachowanie psów w parkach miejskich Ejlatu. Naukowcy chcieli sprawdzić, czy psy wykażą preferencję danego kierunku magnetycznego podczas defekowania i czy na ich zachowanie wpłynie obecność magnesu ukrytego w otoczeniu zwierzęcia.

FOT. ADRIAN WYKROTA

Od lewej prof. UAM Łukasz Kaczmarek, doktorantka Weronika Erdmann, oraz prof. Jakub Z. Kosicki

Wyniki badań pokazały, że psy podczas wypróżniania się ustawiają się w osi północ-południe. Pewna teoria zakłada, że symetryczne układanie całego ciała wzdłuż linii pola magnetycznego może w jakiś sposób wpływać na procesy fizjologiczne czy zapewniać psychiczny spokój. Póki co, brakuje jednak eksperymentów, potwierdzających tę teorię.

Mapy magnetyczne

Zwierzęta posługujące się polem magnetycznym mają wyjątkową zdolność do jego wykorzystywania. Niektóre z nich poruszają się na tzw. azymut, czyli wyznaczają sobie najbliższy biegun i w jego kierunku się przemieszczają. Co ciekawe, nie wiedzą, czy jest to biegun południowy, czy też północny, poruszają się więc tylko na osi od równika i do równika. Druga grupa zwierząt wykorzystuje tzw. mapy magnetyczne, czyli zapamiętuje charakterystykę pola magnetycznego w danym miejscu na Ziemi i porusza się względem tych punktów. Jak się okazuje, najcięższa jest dla nich pierwsza podróż. – Jest to właśnie przyczyna, dla której część ptaków, żółwi morskich czy waleni po prostu się gubi – mówi Weronika Erdmann.

A co z nami?

Nasze zwierzęce korzenie sugerują, że i my powinniśmy być zdolni do odczuwania pola magnetycznego, choć pomimo wielu badań nigdy nie zdołano ostatecznie tego udowodnić. Jednak wydaje się, że pole geomagnetyczne może mieć wpływ, chociażby na funkcjonowanie układu krążenia, podziały komórkowe oraz ich różnicowanie czy wreszcie funkcjonowanie różnych enzymów. – Aby zrozumieć lepiej, w jaki sposób pole magnetyczne wpływa na nasz organizm, potrzebujemy znacznie więcej badań – podsumowuje prof. Łukasz Kaczmarek.

Jagoda Haloszka

Kolorowy problem

Według danych literaturowych, obecnie w przemyśle stosuje się ponad 10 tys. różnego rodzaju barwników. Ich łączna produkcja wynosi – bagatela – około 700 tys. ton rocznie. Barwniki stosowane są przede wszystkim w przemyśle tekstylnym, ale używa się ich także przy produkcji wyrobów papierniczych i leków.

W zależności od technik barwienia tkanin, odpady mogą stanowić od kilku do nawet 60 proc. wyjściowej masy barwników. Szacuje się, że w skali roku do ścieków poprodukcyjnych trafia nawet 300 tys. ton tych barwnych substancji. Na tym, niestety, nie koniec. W procesie barwienia zużywa się także bardzo duże ilości wody. To, w związku ze zmianami klimatycznymi i suszą, może powodować poważne zagrożenie dla środowiska. Dlatego tak istotne wydaje się poszukiwanie nowych, efektywnych metod oczyszczania ścieków. Badania w tym zakresie prowadzi **dr Łukasz Wolski** z Zakładu Katalizy Heterogenicznej na Wydziale Chemii UAM.

Zagrożenia związane z obecnością barwników w wodzie

Jesteśmy przyzwyczajeni do tego, że woda, którą pijemy, jest bezbarwna, tymczasem nawet bardzo małe stężenie barwnika może sprawiać, że zacznie ona przybierać intensywną barwę. Trudno byłoby nam zaakceptować fakt, że woda w jeziorze, nad którym wypoczywamy zabarwiona jest – na przykład – na intensywnie różowy kolor. Ale nie tylko względy estetyczne są tu istotne. Barwnik zawarty w wodzie absorbuje światło, w związku z czym nie dociera ono do głębszych pokładów wody, co znowu stanowić może poważne zagrożenie dla życia roślin i zwierząt. Nie ma światła – nie ma fotosyntezy. Jeśli zmniejszy się efektywność fotosyntezy, to w wodzie powstanie mniej tlenu, co znowu sprawi, że zmienią się warunki życia organizmów zamieszkujących wodę. W konsekwencji może to prowadzić do ich wyginięcia.

Nie sposób też pominąć faktu, że znaczna część barwników i produktów ich rozkładu jest toksyczna. Jeśli znajdą się w wodzie, mogą powodować alergie czy wysypki – co należy do najlżejszych powikłań, bowiem barwniki, a właściwie znaczna ich część, wykazują również działanie kancerogenne i mutagenne – co sprawia, że są one niebezpieczne dla życia i zdrowia. Ponadto, przy produkcji barwników wykorzystuje się substancje syntetyczne, które naturalnie nie występują w wodzie. Są one trudno biodegradowalne. Oznacza to, że jeśli dostaną się do środowiska, w naturalny sposób bardzo trudno będzie je usunąć. Okres potrzebny do ich naturalnego rozkładu wynosić może nawet kilkaset lat. Natura, niestety, nie jest w stanie sama sobie z tym poradzić.

Jak usunąć barwniki

Dobór metod oczyszczania wody z zanieczyszczeń barwnikowych w dużej mierze zależy od tego, z jakim barwnikiem mamy do czynienia, jakie jest jego stężenie i jakie jeszcze inne substancje stosowane w procesie barwienia znajdują się w ściekach poprodukcyjnych. Metod usuwania barwników jest wiele, a każda z nich ma swoje wady i zalety. Niestety, nie ma metody idealnej, która byłaby skuteczna w przypadku wszystkich barwników. Przykładowo, w metodach adsorpcyjnych problemem może być zużyty adsorbent, czyli np. węgiel aktywny. Po użyciu wymaga on regeneracji. Jednakże nie zawsze taką regenerację można lub opłaci się przeprowadzać, w związku z czym może dochodzić do powstawania odpadów wtórnych.

Poza wspomnianymi wcześniej metodami, które polegają na oddzieleniu barwnika od zanieczyszczonej wody, obiecujące są metody, w których dąży się do mineralizacji, a zatem całkowitego utlenienia zanieczyszczeń. Jedną z nich są metody katalityczne, w których wykorzystuje się katalizatory do aktywowania przyjaznych środowisku utleniaczy, takich jak nadtlenek wodoru, w kierunku tworzenia silnie utleniających indywiduów, takich jak np. rodniki hydroksylowe, które cechują się wysoką efektywnością w usuwaniu różnego rodzaju związków organicznych zawartych w wodach. Metody te są łatwe do zastosowania i przyjazne dla środowiska, ponieważ jedynym produktem ubocznym, powstającym podczas katalitycznego aktywowania nadtlenku wodoru, jest woda. Niestety, metody katalityczne mają też swoje ograniczenia – katalizator po spełnieniu swej funkcji musi zostać oddzielony od oczyszczonej wody, aby mógł być użyty w kolejnym procesie.

W czym pomaga światło

Niektóre ciała stałe, zwane fotokatalizatorami, umożliwiają wykorzystanie energii zawartej w świetle do usuwania zanieczyszczeń barwnikowych. Związane jest to z unikalną zdolnością tych materiałów do wytwarzania różnych silnie utleniających indywiduów, takich jak wspomniane wcześniej rodniki hydroksylowe, podczas ich ekspozycji na światło. Oznacza to, że do usunięcia zanieczyszczenia z wody potrzebujemy jedynie fotokatalizatora i źródła światła. Pierwsze badania w tym zakresie dotyczyły ciał stałych, które były w stanie usuwać zanieczyszczenia podczas naświetlania promieniowaniem ultrafioletowym, jednakże obecnie coraz więcej uwagi poświęca się poszukiwaniu fotokatalizatorów, które mogłyby działać w zakresie światła widzialnego. To jeszcze lepsze rozwiązanie, ponieważ sam proces moglibyśmy prowadzić na wolnym powietrzu z użyciem światła słonecznego.

W ten ogólnoświatowy trend poszukiwania nowych, przyjaznych środowisku i efektywnych metod oczyszczania wody poprzez mineralizację zanieczyszczeń, wpisują się ba-

dania wykonywane przez dra Łukasza Wolskiego w ramach projektu SONATINA, finansowanego przez Narodowe Centrum Nauki. – Moje badania – mówi dr Wolski – dotyczą procesów hybrydowych, czyli takich, których istotą jest łączenie wcześniej wspomnianych procesów fotokatalitycznych z procesami katalitycznego utleniania nadtlenkiem wodoru. W przypadku procesów hybrydowych zachodzących w obecności niektórych ciał stałych – katalizatorów, połączenie tych dwóch różnych metod katalitycznego utleniania może przyczynić się do uzyskania znacznie większej efektywności usuwania zanieczyszczeń niż w przypadku stosowania tych metod osobno. W procesach tych światło może bowiem działać jako czynnik zwiększający efektywność katalitycznego aktywowania nadtlenku wodoru w kierunku tworzenia silnie utleniających indywiduów. Celem moich badań jest właśnie poszukiwanie nowych katalizatorów, które będą umożliwiały osiągnięcie tego efektu zwiększenia aktywności w procesach hybrydowych, a także poznanie mechanizmu działania tych katalizatorów.

Znaczącą nowością tych badań jest stosowanie katalizatorów, które są mieszaniną składników o całkowicie odmiennych właściwościach i różnym sposobie oddziaływania z nadtlenkiem wodoru. Połączenie tak odmiennych materiałów często prowadzi do otrzymania katalizatorów o nowych, czasem zaskakujących właściwościach, które mogą przyczynić się do zwiększenia ich aktywności w procesach oczyszczania wód. Przykładem tego są ostatnio opracowane przez dr. Wolskiego katalizatory, w których połączone zostały dwa różne tlenki metali o całkowicie odmiennych właściwościach, w rezultacie czego otrzymano katalizator, który ze względu na silne oddziaływanie pomiędzy poszczególnymi składnikami wykazywał dużo większą aktywność niż ta, obserwowana przy użyciu pojedynczych tlenków metali.

Magda Ziółek

Biopaliwa – czysta oszczędność

Dr Katarzyna Stawicka z Zakładu Katalizy Heterogenicznej na Wydziale Chemii UAM przez ponad 5 lat zajmowała się reakcjami przekształcania glicerolu. Jej prace przyniosły szereg ciekawych wyników, które już dziś znajdują potwierdzenie w przemyśle paliwowym.

Glicerol (znany też pod nazwą gliceryna) to alkohol posiadający trzy grupy hydroksylowe. Taka budowa pozwala na bardzo różnorodne wykorzystanie. Ponieważ jest substancją nietoksyczną i biodegradowalną, glicerol znajduje zastosowanie w wielu produktach kosmetycznych oraz w przemyśle farmaceutycznym. Dodatkowo jego budowa, pod względem chemicznym pozwala na przekształcenia, co sprawia, że można z niego otrzymać inne produkty, bardziej użyteczne na rynku. Dr Stawicka wykorzystała glicerol do otrzymywania dodatków do biopaliw. To z wielu powodów korzystne rozwiązanie.

Glicerol otrzymywany jest w dużych ilościach przy produkcji biopaliw. W przybliżeniu na 10 kg surówki otrzymuje się 9 kg biodiesla i aż 1 kg glicerolu. Jeśli uświadomimy sobie, na jaką skalę obecnie produkowane jest biopaliwo, możemy zrozumieć, że nadwyżka tego produktu stanowi poważny problem – przede wszystkim logistyczny. Bo co zrobić z taką ilością odpadów? Nawet zapotrzebowanie ze strony przemysłu farmaceutycznego i kosmetycznego nie jest w stanie rozwiązać tego problemu.

Powstały w wyniku syntezy biodiesel nie od razu jest pełnowartościowym paliwem. Produkt ten jest nieodporny na działanie powietrza, ma również nieodpowiednią lepkość itd. Dlatego w toku produkcyjnym dodaje się do niego komponenty polepszające jakość paliwa. Nie ma w tym nic nowatorskiego, takie „uszlachetniacze" dodawane były również do tradycyjnych paliw – były to ołów i estry. – Cała idea tego pomysłu – mówi dr Stawicka – polega na tym, aby nadwyżkowy glicerol przekształcić w dodatek uszlachetniający. Wykorzystałam do tego reakcję glicerolu z kwasem octowym. W ten sposób powstał triacetyloglicerol. Produkt ten został szczegółowo opracowany pod względem norm i może być wykorzystany przy produkcji biopaliw. Dodatkowo, triacetyloglicerol może zostać wykorzystany w innych gałęziach przemysłu, np. jako substancja żelująca.

Polska jako kraj należący do UE była zobligowana do otrzymywania coraz to większych ilości biopaliw, dlatego tego typu rozwiązania mogą stanowić spore oszczędności dla firm zajmujących się ich produkcją. Dzięki ich zastosowaniu odpadowy glicerol nie musi być składowany, co redukuje koszty jego utylizacji. Dodatkowo korzysta na tym środowisko, ponieważ w procesie spalania glicerolu wydzielają się gazy cieplarniane. Wykorzystanie triacetyloglicerolu jako uszlachetniacza do paliwa daje też konkretne oszczędności związane z samą produkcją biopaliwa. Słowem – czysta oszczędność! W dodatku bezpieczna dla środowiska, bo o zaletach biopaliw nie trzeba nikogo przekonywać. Uznawane są one za produkty ekologicznie czyste ze względu na zdecydowanie mniejszą emisję gazów cieplarnianych i ich biodegradowalność.

Magda Ziółek

Obie przedstawione sylwetki młodych naukowców łączy tematyka badawcza, a więc zastosowania katalizatorów w badaniach środowiskowych. Została ona zapoczątkowana w 1990 roku w Zakładzie Katalizy Heterogenicznej na Wydziale Chemii UAM. Przez pierwsze dwie dekady skupiał się on na wytwarzaniu nowych katalizatorów i poznawaniu mechanizmów reakcji usuwania tlenków azotu i związków siarki z gazów spalinowych. W ostatniej dekadzie nurt badań środowiskowych ogniskuje się z jednej strony na opracowaniu katalizatorów efektywnych w przeróbce glicerolu, a z drugiej strony rozwijane są badania procesów fotokatalitycznych. Kierownikiem Zakładu Katalizy Heterogenicznej jest prof. Maciej Trejda.

FOT. 2X ADRIAN WYKROTA

Gramy i rozmawiamy

E-sport czerpie całymi garściami z zawodowego sportu. Nic więc dziwnego, że niektóre drużyny sięgają po psychologów, którzy pomagają w odpowiednim przygotowaniu zawodników. Na czym polega praca psychologa w e-sporcie? O tym z **prof. Łukaszem Kaczmarkiem** z Wydziału Psychologii i Kognitywistyki UAM rozmawia Jagoda Haloszka.

Kiedyś nasi rodzice wyganiali nas na zewnątrz, abyśmy tam grali w piłkę nożną, dziś gdyby nie elektronika, nie umielibyśmy znaleźć sobie miejsca. Jaki to ma wpływ na naszą psychikę?
To celna obserwacja. Kiedy rozmawiamy z dziećmi i mówimy im, że dla nas w przeszłości zakaz wychodzenia z domu było formą kary, to dzieci patrzą na nas z niedowierzaniem. Myślę, że wpływ na to mają dwa zjawiska. Po pierwsze pojawiła się bardzo ciekawa alternatywa dla zabaw na podwórku np. coraz lepsze gry komputerowe. Są darmowe i stają się doświadczeniem kulturowym tzn. jak się gra, to się wie, że będzie można porozmawiać o tym z rówieśnikami, wymienić się doświadczeniami, ale też jeżeli nie jest się obeznanym z grami video, to jest się w pewnym sensie społecznie wykluczonym. A po drugie jest jeszcze coś, o czym zapominamy. Świat podwórka nie jest już takim światem, jakiego my doświadczaliśmy, kiedy byliśmy dziećmi. Teraz ten zakres swobody dzieci przeżywają w kontakcie ze sprzętem elektronicznym, kiedy rodzic nie do końca wie, co dziecko robi, co instaluje i dzięki temu dziecko doświadcza autonomii.

Prof. Łukasz Kaczmarek z doktorantem Maciejem Behnke

Jaka jest wasza rola jako psychologów w e-sporcie?
Przyznam, że e-sportem zajmuję się raczej w kontekście ogólnych badań psychologicznych niż w kontekście psychologii sportu. Są psycholodzy, którzy starają się pomagać e-sportowcom w osiąganiu jak najlepszych wyników, ale także dbają o to, aby uzyskiwanie dobrych wyników w e-sporcie nie wiązało się ze zbyt wysokimi kosztami psychicznymi. Zajmują się optymalizacją koncentracji, trenowaniem radzenia sobie ze stresem, współpracą grupową, bo prawie wszystkie gry e-sportowe są oparte na współpracy. Psycholog e-sportu ma klasyczne zadania, które znamy z psychologii sportu plus oczywiście dochodzi kwestia specyfiki gier. Natomiast nas interesuje przede wszystkim e-sport jako zjawisko, w którym możemy prowadzić badania osób funkcjonujących w sytuacjach zadaniowych, sytuacjach stresu i silnych emocji. Zapraszamy e-sportowców do naszego laboratorium psychofizjologii, proponujemy różne gry i próbujemy zobaczyć, jak różne czynniki psychiczne wpływają na ich funkcjonowanie. E-sport obejmuje szerokie zagadnienia i psycholodzy mogą nie tylko pracować dla e-sportowców, ale też obserwować ich funkcjonowanie po to, by odpowiadać na bardziej ogólne pytania psychologii człowieka.

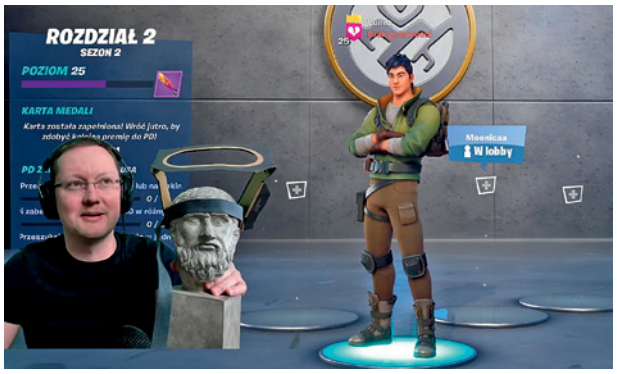

Zdjęcie z kanału „Nałuka", który w niecodzienny sposób popularyzuje psychologię, m. in. przez gry komputerowe

Pan również gra w gry i założył niedawno kanał „Nałuka", który w niecodzienny sposób popularyzuje psychologię, m. in. przez gry komputerowe. Skąd pomysł na taką formę przekazu?
Pod pretekstem gier staramy się rozmawiać o psychologii. Nasze założenie brzmi, że gry pozwalają nam lepiej zrozumieć psychologię, bo obserwujemy pewne psychologiczne zagadnienia in vivo. No i psychologia może być również przydatna do tego, żeby lepiej zrozumieć, jak działają gracze. Wydaje mi się, że jest to bardzo naturalne połączenie psychologii z gamingiem. A korzyści są obustronne. Pomysł wziął się stąd, że gram w gry, a zawodowo zajmuję się psychologią. Jak zauważył Artystoteles, człowiek jest szczęśliwy wtedy, kiedy wykorzystuje w pełni swoje zdolności. Więc, jeśli ktoś zna się na psychologii i zna się na grach, to jest to dobre połączenie z perspektywy własnej, ale i… widzów, którzy dopisują. Rozmowy, które prowadzimy, pokazują, że jest w tej formule miejsce i do zabawy i do dyskusji merytorycznej jednocześnie. Gamerzy mogą się dowiedzieć czegoś ciekawego o psychologii, a z kolei psycholodzy mogą lepiej zrozumieć pewne zjawiska, które występują m. in. w grach.

Wycinać czy nie?

Trzy lata temu ludzie nagle zaczęli wycinać drzewa na swoich działkach. Umożliwiły to przepisy, z których rząd wycofał się po kilku miesiącach w odpowiedzi na skalę zjawiska i oburzenie opinii publicznej. Jak było naprawdę – ile drzew poszło pod topór? Co więcej – jak rozmawiać o wycince drzew tak, by nie rzucać się sobie do gardeł? Dotąd nikt gruntownie nie zbadał tego, co się wydarzyło. Teraz robią to socjologowie z UAM.

Dr Krzysztof Mączka z Wydziału Socjologii UAM

FOT. ADRIAN WYKROTA

W 2017 roku w mediach pojawiły się szacunki podszyte polityczną waśnią oraz niepoparte badaniami opinie, że wycięto kilka milionów drzew. To tylko zaogniło spór rodaków o drzewa.

– Badania CBOS-u wykazały, że 48 procent Polaków było za ówczesną ustawą, około 46 procent przeciw i kilka procent niezdecydowanych. Ten podział świadczy o istnieniu ostrego konfliktu, ale nie wiadomo, z czego on wynika. Chcemy to sprawdzić – mówi **dr Krzysztof Mączka** z Wydziału Socjologii UAM, laureat programu START, który znalazł się w gronie stu najzdolniejszych polskich naukowców przed trzydziestką. Naukowiec jest koordynatorem ostatniego etapu badań w projekcie „iTre-es – Wpływ zmian instytucjonalnych na świadczenia ekosystemów dostarczane lokalnym społecznościom przez drzewa i krzewy" (itre-es.com), dzięki któremu poznamy nie tylko skalę wycinki.

– Nasze badania pozwolą określić preferencje społeczne dotyczące kwestii korzyści, jakie czerpiemy z obecności drzew, wycinki drzew oraz elastyczność tych preferencji: innymi słowy, jak bardzo możemy w kwestiach wycinki ustąpić – tłumaczy prof. Piotr Matczak, kierownik projektu.

Socjologowie we współpracy m.in. z geografami i leśnikami wybrali do badań Racibórz na Śląsku oraz wiejskie tereny gminy Nysa na Opolszczyźnie. Obie gminy są typowe pod względem przyrodniczym i społecznym na tle podobnych jednostek samorządowych w Polsce.

Ile drzew zniknęło z krajobrazu gmin pozwoliła ocenić teledetekcja, czyli badanie przeprowadzone przez zespół prof. Piotra Wężyka z Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie wykonane z samolotu za pośrednictwem laserowych czujników. Badacze przeprowadzili również geoankietę (internetową ankietę wspomaganą mapą) wśród mieszkańców. Pracowali nad nią dr inż. Patrycja Przewoźna (UAM), Adam Inglot (Politechnika Gdańska) i Marcin Mielewczyk (UAM).

– Drzewa dostarczają wiele korzyści, ale zdarza się, że drzewo trzeba wyciąć, bo zagraża bezpieczeństwu. Naszym celem jest sprawdzenie, jak te poglądy ludzi dotyczące wycinki się rozkładają oraz czym są uwarunkowane – wyjaśnia dr Mączka.

W publicznym dyskursie najbardziej widoczne są stanowiska skrajne, co wcale nie oznacza, że są one najliczniejsze. – Śledziliśmy fora, gdzie spotykaliśmy się z różnymi głosami. Oprócz bardzo ostrych opinii zarówno przeciwników, jak i zwolenników, pojawiały się głosy pośrednie, np. ktoś zaproponował, że jeśli wytnie drzewo na swojej działce to chce, by na jego koszt posadzono kilka drzew na terenie państwowym – powiedział dr Mączka.

W wypracowaniu konstruktywnego sposobu rozmawiania o problemie może pomóc pionierskie połączenie dwóch metod: grupowej dyskusji (deliberacji) z metodą Q. – Obie mogą być w przyszłości stosowane na szerszą skalę jako jedna z metod konsultacji społecznych w każdym z polskich miast – uważa prof. Matczak.

Metoda Q polega na szeregowaniu przez uczestników badania poglądów od skrajnych po umiarkowane, w taki sposób, by jak najlepiej przedstawiały ich osobiste przekonania. Natomiast deliberacja opiera się o wyważoną dyskusję, podczas której przedstawiane są wszystkie możliwe poglądy na dany temat. Na koniec uczestnicy oceniają, na ile dyskusja wpłynęła na zmianę ich opinii. W projekcie zaplanowano dwa takie spotkania – jedno dla mieszkańców Nysy, a drugie dla mieszkańców Raciborza. Podczas obydwu mieszkańcy będą proszeni o wyrażenie swojej opinii przed i po dyskusji (deliberacji) poprzez uporządkowanie twierdzeń dotyczących wycinki i zarządzania drzewami na specjalnej planszy.

– Jeśli zaistnieje różnica w poglądach między wsią a miastem (oczywiście z dużym przybliżeniem, bo to nie są badania na wielką skalę) może to sugerować, że prawo powinno być uwarunkowane lokalnie - mówi dr Mączka. - Mamy szereg przypuszczeń, które będziemy wyjaśniać np. czy ludzie wycofują się do twardych wartości czy są otwarci na nowe spojrzenia, a tym samym na zmianę poglądów w toku dyskusji.

Interdyscyplinarny projekt rozpoczęty w 2018 roku potrwa do stycznia przyszłego roku. Końcowym elementem badawczym są wspomniane spotkania z udziałem mieszkańców Nysy i Raciborza. Naukowcy opracują wyniki i przygotują publikacje, a także spopularyzują swoje odkrycia. - Mamy świadomość, że jest potrzeba upowszechnienia wiedzy o potrzebach obywateli dotyczących terenów zielonych i sposobach prowadzenia dyskusji na ten temat - podsumował dr Mączka.

Ewa Konarzewska-Michalak

Tworząc strategię inteligentnej hodowli

Jęczmień dający wysoki plon, a przy tym odporny na suszę i patogeny – brzmi jak science fiction? Wcale nie – takich odmian zbóż potrzebujemy już teraz. Badania **prof. Piotra Ziółkowskiego,** kierownika Pracowni Biologii Genomu (Wydział Biologii) mogą wspomóc nowe inteligentne strategie hodowli roślin użytkowych.

Prof. Piotr Ziółkowski razem z zespołem prowadzi fascynujące projekty, które mają szansę otworzyć nieznane wcześniej możliwości przed współczesnym rolnictwem. Naukowcy pracują nad identyfikacją czynników kontrolujących rekombinację mejotyczną. Badania zmierzają w kierunku tworzenia strategii inteligentnej hodowli, a ich wyniki mogą mieć praktyczne znaczenie.

Biolodzy doskonale wiedzą, co to znaczy „rekombinacja mejotyczna", potocznie zwana crossing-over, ale skoro artykuł będą czytać nie tylko specjaliści w tej dziedzinie na wstępie wyjaśnimy, czym ona jest. Bez mejozy, jak pamiętamy z lekcji biologii, nie byłoby możliwe powstanie gamet (komórek rozrodczych). Wszystkie komórki organizmów eukariotycznych, w tym ludzi, posiadają dwa zestawy chromosomów – od matki i od ojca, które łączą się ze sobą podczas zapłodnienia. Gdyby nie było mejozy, z każdym pokoleniem liczba chromosomów podwajałaby się, co doprowadziłoby do chaosu. Dzięki mejozie liczba chromosomów w gametach zmniejsza się o połowę, przez co w kolejnych pokoleniach garnitur chromosomowy nie zmienia się.

Czemu zatem służy rekombinacja? Prowadzi do przetasowania i właściwej wymiany genów w chromosomach, które uzyskaliśmy od matki i ojca. Dzięki temu chromosomy, które później trafią do gamety są mozaiką fragmentów chromosomów pochodzących od obu rodziców.

Rekombinacja jest ściśle kontrolowana, co oznacza, że u niemal wszystkich eukariotów każda para chromosomów przechodzi nie więcej niż 2-3 zdarzenia crossing-over.

Selekcja kontra zmienność

Zmiennością genetyczną prof. Ziółkowski bliżej zainteresował się na stażu na Uniwersytecie w Cambridge. Prowadząc badania z dr. Ianem Hendersonem szukał odpowiedzi m.in. na pytania: czy osobniki jednego gatunku wykazują duże różnice w częstości rekombinacji mejotycznej? Jak zwiększyć częstość rekombinacji i jak ją kierować w określone miejsce na chromosomie? Są to ważne zagadnienia z punktu widzenia np. hodowców roślin, którym zależy na wytworzeniu gatunków o specyficznych cechach np. dających wysokie plony i jednocześnie odpornych na suszę. Nie jest to proste zadanie, bo na przeszkodzie stoi bardzo silne zawężona zmienność genetyczna roślin uprawnych, wynikająca z tysięcy lat sztucznej selekcji prowadzonej przez człowieka.

– Łany pszenicy tej samej odmiany pochodzące z różnych pól są identyczne. Rolnicy krzyżowali zboża kierując się przede wszystkim plonem i nie zdając sobie sprawy, że sztuczna selekcja w kierunku jednej cechy, automatycznie eliminuje zmienność w obrębie innych cech, np. odporności na suszę. Jeśli klimat w danym okresie historycznym był wilgotniejszy, takie zmiany w strukturze populacji nie były przez hodowców dostrzegane. Jednak wraz z nastaniem suchych lat uwidaczniał się brak odpowiedniej zmienności w uprawach, której nie ma już jak uzupełnić. W naturalnych, dzikich populacjach bardzo wysoka zmienność sprawia, że bez względu na warunki część osobników z tych populacji przetrwa, zapewniając tym samym trwanie gatunku. – wyjaśnia prof. Ziółkowski.

FOT. ADRIAN WYKROTA

Inteligentna hodowla

Dlatego też hodowcy starają się wzbogacić zmienność wprowadzając nowe wersje genów (allele genowe) z niespokrewnionych linii bądź z populacji dzikich. Problem w tym, że przy okazji mogą stracić wysokość plonowania, a także przenieść do upraw szereg innych prymitywnych cech, które są niepożądane np. sposób połączenia plewy z ziarnem, co utrudnia proces obróbki. Dobrym rozwiązaniem wydaje się zwiększenie częstości rekombinacji, dzięki czemu rośnie szansa, że uda się przenieść tylko pożądany fragment chromosomu. Druga strategia to nakierowanie rekombinacji w określone miejsce na chromosomie, gdzie zlokalizowany jest interesujący hodowcę gen. Obie strategie byłyby przełomowe szczególnie w hodowli zbóż, mających bardzo duże genomy. W przypadku zbóż okazuje się bowiem, że 2-3 zdarzenia rekombinacyjne, przypadające na jedną parę chromosomów, to zdecydowanie za mało, by prowadzić efektywną hodowlę.

W rezultacie hodowca tworzy nową odmianę przez kilkanaście lat, posługując się do tego celu olbrzymimi populacjami, w których poszukuje odpowiedniej kombinacji alleli! Często proces ten kończy się porażką, ponieważ nie dość, że rekombinacja jest losowa, to jeszcze w wielu przypadkach zachodzi na samych końcach chromosomów. Jeśli zdamy sobie sprawę, że ok. 80 procent długości chromosomu u zbóż w ogóle nie wchodzi w rekombinację, to okaże się, że nie mamy fizycznej możliwości ich przeniesienia między różnymi liniami.

Na postęp w tej dziedzinie być może wpłynie nowy projekt poznańskich naukowców, który ma na celu zbadanie, jakie czynniki determinują zachodzenie rekombinacji. Chodzi o to, żeby rekombinacja nie była losowa – naukowcy chcą ją kierować w konkretne miejsce na chromosomie.

– Moglibyśmy przenieść określone warianty genowe z linii dzikich do linii uprawnych dzięki „targetowaniu rekombinacji". Byłoby to po pierwsze efektywne, bez konieczności wykorzystywania gigantycznych populacji, co generuje olbrzymie koszty. Projekt zmierza w kierunku inteligent breeding (inteligentna hodowla), czyli kierujemy procesami hodowli w sposób, który do tej pory był niemożliwy. Wiemy, co chcemy przenieść i to robimy.

Ewolucja się nie spieszy

Jak już wspomnieliśmy, natura dba o jak największą zmienność w populacji. Służą temu odpowiednie mechanizmy, które kierują rekombinację do najbardziej zmiennych rejonów chromosomowych. Oznacza to, że jeśli jeden fragment chromosomu jest prawie identyczny u obojga rodziców, a drugi znacząco się między nimi różni, to crossing-over będzie kierowany do tego drugiego. To jedno z głównych odkryć, których dokonał prof. Ziółkowski. Naukowiec zidentyfikował również gen kodujący enzym, którego zwiększenie w komórce powoduje proporcjonalny wzrost częstotliwość rekombinacji w mejozie.

– Ewolucja nie spieszy się, dla niej, w przeciwieństwie do nas, nie ma znaczenia, z jaką prędkością następuje mieszanie genów. Co więcej, proces ten w naturze nie może odbywać się zbyt szybko, bo powoduje rozbicie korzystnych ewolucyjnie kombinacji alleli. Inaczej jest w przypadku hodowli prowadzonej przez człowieka, gdzie chcemy jak najszybciej uzyskiwać nowe odmiany. Dlatego kilkukrotne podniesienie częstości rekombinacji w skali globalnej ma kolosalne znaczenie. Trwają prace, żeby wykorzystywać zidentyfikowany czynnik pro-rekombinacyjny w hodowli jęczmienia i pszenicy.

Ostatnio nastąpił duży postęp w zrozumieniu zjawiska rekombinacji. Kolejny etap będzie polegał na kierowaniu nią. Biolodzy z UAM stworzyli narzędzia, które pozwalają na mierzenie rekombinacji w bardzo krótkich odcinkach na chromosomie. To tak zwany system reporterowy. – Jak statystycznie zmierzyć, w którym miejscu zachodzi crossing-over, jeśli częstość rekombinacji jest tak niewielka? Żeby to ustalić, trzeba byłoby przetestować miliony osobników, zmapować miejsca crossing-over i rozrysować uzyskany w ten sposób układ – wyjaśnia prof. Ziółkowski. – Zamiast tego stworzyliśmy system opierający się na genach reporterowych, oddzielonych od siebie niewielką odległością na chromosomie. Kodują one białka fluorescencyjne, zielone GFP i czerwone dsRed, które wywołują efekt fluorescencyjnego świecenia nasion. Kierując czynniki stymulujące rekombinację do miejsca znajdującego się pomiędzy tymi dwoma genami reporterowymi, wpływamy na crossing-over w tym miejscu, a potem mierzymy jego częstość poprzez pomiar segregacji fluorescencyjnych reporterów. Dzięki temu możemy szybko określić, który czynnik stymuluje rekombinację i w jakim stopniu. Testując różne czynniki i różne strategie ich dostarczania do chromosomu będziemy w stanie znaleźć te najbardziej obiecujące, warte zastosowania w nowoczesnej hodowli.

Rekombinacja a GMO

Kupując dorodne pomidory w sklepie, nie myślimy o tym, dlaczego warzywa wyglądają właśnie tak. Postęp, którego dokonujemy od tysięcy lat, spowodował duże zmiany. Odpowiedzialna jest za to hodowla tradycyjna, która na poziomie genetycznym nie różni się znacząco od GMO, choć nie wywołuje tylu kontrowersji. Również i w tym wypadku żonglujemy genami z różnych odmian, układając je w wybrany przez nas sposób. Wyobraźmy sobie, że u przodka kukurydzy jedna kolba zawierała maksymalnie do 7 ziaren, ryż w naturze natychmiast rozsypuje nasiona, jak tylko się rozwiną, uniemożliwiając ich zbiór, a dzikie pomidory są wielkości jagód. Kukurydza, jaką dziś znamy, to kukurydza hybrydowa, uzyskiwana dzięki każdorazowemu krzyżowaniu dwóch odległych linii, po to by zwiększyć plon. Jako GMO traktowane jest nie tylko wprowadzanie nowych genów z innego gatunku, ale też samo zwiększenie ekspresji czynników naturalnie występujących w danych organizmie, tymczasem podobne zjawiska występują w naturalnej selekcji. Mimo to GMO w Europie obwarowano wieloma przepisami utrudniającymi korzystanie z niego.

Zwiększenie częstości rekombinacji w regionach chromosomowych różniących się pomiędzy rodzicami, jest naturalnym procesem, nie wymagającym genetycznych modyfikacji. Naukowcy z UAM testują, czy zjawisko to występuje w roślinach uprawnych, innych niż modelowa Arabidopsis. Może ono stać się strategią hodowlaną, wykorzystującą dobór odpowiednich rodziców do krzyżówek. Natomiast strategia polegająca na kierowaniu rekombinacji do konkretnych miejsc na chromosomie, wymaga zastosowania techniki CRISPR, która prawdopodobnie będzie uznana przez Unię Europejską za GMO.

– Prowadzimy głównie prace podstawowe, dowiadujemy się, jakie są mechanizmy działania różnych czynników. Aspekt aplikacyjny jest dla nas bardzo ciekawy, ale w takiej sytuacji mamy trochę związane ręce. Być może w przyszłości uda się rozwiązać ten problem – podsumowuje prof. Ziółkowski.

Ewa Konarzewska-Michalak

RurAction znaczy innowacja

Kierowanie rezultatów działalności naukowej do szerokiej, pozaakademickiej publiczności, staje się coraz istotniejszym aspektem projektów badawczych. Wydział Socjologii UAM, wykorzystując tradycję badań wizualnych w naukach społecznych, wypracowuje innowacyjne metody takich działań, wprowadzając je w życie w międzynarodowym projekcie „RurAction".

FOT. PAWEŁ KOSICKI

Otwartość na współpracę z otoczeniem społeczno-gospodarczym staje się – obok interdyscyplinarności badań i łączeniu nauki z dydaktyką – jednym z wyzwań stojących przed współczesnym uniwersytetem. Zbyt często jednak praktyki te są ograniczane wyłącznie do współpracy przy praktycznej implementacji rezultatów badań. Tymczasem coraz ważniejszym elementem projektów badawczych staje się również współpraca z tymi kategoriami społecznymi, których dotyczy tematyka badań, oraz z tymi lokalnymi społecznościami, w których projekty są realizowane.

Takie praktyki zyskują istotność w dużej mierze ze względu na nowe etyczne wyzwania pojawiające się przed naukami społecznymi i humanistycznymi. Badając jakąś społeczność – szczególnie wtedy, gdy mamy do czynienia z długotrwałymi badaniami terenowymi – nawet nieintencjonalnie wywieramy wpływ na jej codzienne funkcjonowanie. Powrót do niej z rezultatami badań sprawia, że jej członkowie stają się podmiotowymi aktorami projektu, a ich uczestnictwo w badaniach zostaje w ten sposób dowartościowane.

Ważne jest oczywiście, aby posługiwać się przy tym formą komunikacji, która dla szerokiej publiczności będzie zrozumiała, oraz medium, które będzie dostępne i postrzegane jako autentyczne w przekazie. W taki właśnie sposób postępujemy w projekcie „RurAction. Social Entrepreneurship in Structurally Weak Rural Regions: Analysing Innovative Troubleshooters in Action". Jest to projekt realizowany w programie UE Horyzont 2020, w ramach którego powstało międzynarodowe konsorcjum, składające się z akademickich i pozaakademickich podmiotów z 7 krajów: Austrii, Danii, Grecji, Irlandii, Niemiec, Polski oraz Portugalii. Projekt koncentruje się na badaniu słabych strukturalnie regionów wiejskich w Europie oraz innowacji społecznych realizowanych na tych terenach przez przedsiębiorców społecznych. Jedynym polskim partnerem projektu jest UAM.

W 2019 roku odwiedziliśmy 3 wiejskie regiony: Alentejo w południowo-wschodniej Portugalii, Fiotyda w środkowej Grecji oraz Mid-West na południu Irlandii. Podróżowaliśmy tam w zespole socjologiczno-fotograficznym, wraz z fotografami związanymi z poznańską fundacją Pix House: Michałem Adamskim, Pawłem Kosickim oraz Michałem Sitą. W Portugalii farmerzy opowiadali nam o swoich plantacjach i o tym, że konieczne jest dla nich wchodzenie we współpracę oraz wymiana wiedzy i doświadczeń. W ten sposób możliwe jest też tworzenie pomostów pomiędzy różnymi światami społecznymi. W Grecji plantatorzy pokazywali, jak w swojej pracy z nową rośliną – stewią – wykorzystują tradycje z upraw tytoniu, obecne na tamtych terenach od bardzo wielu lat. W Irlandii pracownicy lokalnych domów kultury i centrów społeczności mówili o konieczności wsłuchiwania się w lokalne potrzeby mieszkańców i dostosowywania do nich własnych wzorów pracy. Przeprowadzone przez nas rozmowy były rejestrowane audiowizualnie, a na ich podstawie powstanie film dokumentalny. Jego premiera jest zaplanowana na jesień 2020 r., podczas konferencji podsumowującej cały projekt.

Równolegle prowadziliśmy dokumentację fotograficzną. Wykonane zdjęcia składają się na wystawę fotograficzną zrealizowaną w formie strony internetowej. Jest ona dostępna pod adresem https://ruraction.eu/exhibition-intro/. Zdjęciom towarzyszy tekst, który prowadzi odbiorcę przez poszczególne regiony i wyjaśnia treść fotografii. Chcieliśmy stworzyć materiał możliwie najbardziej autentyczny dla naszych odbiorców. Dbaliśmy o to, aby w wystawie – na tyle, na ile to możliwe – zostały uwzględnione interesy lokalnych społeczności. Co więcej, zdecydowaliśmy się na cyfrową wersję wystawy, aby zagwarantować jej możliwie dużą mobilność i szeroką dostępność.

Projekt RurAction może być przykładem udanej współpracy świata nauki ze światem artystycznym, umożliwiającej też wzajemne inspirowanie siebie do nowych perspektyw patrzenia na rzeczywistość społeczną. Podkreśla też znaczenie komunikowania się w trakcie pracy badawczej z szeroko rozumianymi odbiorcami. To nowy wymiar legitymizujący pracę naukową, szczególnie w naukach humanistycznych i społecznych, wskazujący na społeczną misję uniwersytetu jako instytucji współkształtującej pozytywne zmiany społeczne. Warto o nim pamiętać przy coraz częstszych chęciach fetyszyzowania wyłącznie publikacji kierowanych do wyspecjalizowanego odbiorcy.

Dr Łukasz Rogowski

European Legal Studies na WPiA

Z prodziekanem Wydziału Prawa i Administracji UAM
prof. Tomaszem Nieborakiem,
rozmawia Krzysztof Smura

FOT. ADRIAN WYKROTA

W dobie EPICUR-a, European Legal Studies wydają się strzałem w dziesiątkę. Czy program studiów prowadzony w języku angielskim będzie się różnił od tego realizowanego w języku polskim?
W rzeczy samej, uruchomienie nowego kierunku w języku angielskim na Wydziale Prawa i Administracji doskonale wpisuje się w pasmo sukcesów naszego uniwersytetu, za jakie uznać należy między innymi inicjatywę EPICUR czy też uzyskanie przez UAM statusu uczelni badawczej. Elementy te podkreślamy, promując nasz nowy kierunek, wskazując na fakt, że pracownicy wydziału są niezwykle aktywni na polu badań międzynarodowych, a ich doświadczenie i kontakty zamierzamy wykorzystać, kształcąc na kierunku European Legal Studies (ELS). Rozpoczynając prace nad nowym kierunkiem, od razu podjęliśmy decyzję, że proces dydaktyczny na studiach I stopnia realizowany będzie w całości w języku angielskim i nie będzie zwykłą kalką kierunku w języku polskim.

A kadra naukowa? Trzeba będzie ją poszerzyć?
Studia na tym kierunku obejmują szeroki wachlarz przedmiotów. Chcąc zrealizować ten wyjątkowy program studiów, zaprosiliśmy do grona wykładowców również osoby spoza wydziału. Nauczanie prawa to nie tylko, jak się może wydawać, analiza przepisów, orzeczeń. W badania prowadzone przez przedstawicieli naszej dyscypliny wpisana jest interdyscyplinarność. Prawo łączy się bowiem ze światem poprzez jego instrumentalne pojmowanie, a więc jako zjawiska społecznego, wpływającego na kształt relacji międzyludzkich.

Dużo mówi się na UAM o umiędzynarodowieniu. Jak zamierzacie promować nowy kierunek poza granicami Polski?
W mojej ocenie umiędzynarodowienie możemy rozpatrywać w skali mikro i makro. W tym pierwszym przypadku istotne są kontakty osobiste pomiędzy naukowcami z różnych krajów czy też uczelni, nawiązywane podczas wyjazdów naukowych, udziału w konferencjach i realizacji grantów. Aby to jednak było możliwe, konieczne jest wsparcie udzielone na poziomie makro – uczelni, która z jednej strony będzie budowała swoją markę, a z drugiej strony wspierać będzie działania w sferze mikro. Mechanizm ten widoczny jest również w przypadku promocji kierunku ELS, na rzecz której stworzyliśmy dwa uzupełniające się zespoły. Zadaniem pierwszego, realizowanego przy wsparciu i zaangażowaniu administracji wydziałowej, jest profesjonalna obsługa osób kontaktujących się z wydziałem i pytających o studia. Zadaniem drugiego zespołu, wspieranego przez administrację centralną UAM i wydziałowy samorząd studencki, jest prowadzenie i koordynacja działań promocyjnych przy wykorzystaniu różnych form przekazu, w tym przede wszystkim Internetu i strony www.legalstudies.amu.edu.pl.

Wachlarz propozycji jest bardzo szeroki. Z oferty można wybierać choćby tematy rozwijające indywidualne zainteresowania. Poproszę o przykłady.
Ostateczna wersja programu studiów jest efektem wielu rozmów i dyskusji. Chciałbym w tym miejscu podkreślić zaangażowanie, za które bardzo dziękuję, dwóch osób – prof. Katarzyny Klafkowskiej-Waśniowskiej oraz dr. Igora Nestoruka. Już na samym początku realizacji idei utworzenia kierunku ELS zastanawialiśmy się nad tym, jak stworzyć program, który byłby inny od tego rodzaju studiów oferowanych na uniwersytetach europejskich, a przy tym atrakcyjny dla przyszłych studentów. Studiując na naszym kierunku student będzie miał możliwość uzupełniania wiedzy realizowanej w ramach przedmiotów obowiązkowych o treści fakultatywne. Odpowiedni ich dobór ma mu pozwolić ukierunkować wiedzę. Na przykład student, którego interesują problemy szeroko rozumianych praw człowieka, ma możliwość poszerzania swojej wiedzy rozpoczynając kurs z zakresu filozofii prawa (I rok), następnie pogłębić wiedzę uczestnicząc w wykładzie fakultatywnym nt. etyki w globalnym świecie (I rok) i rozwinąć ją na II roku w ramach wykładu nt. wolności słowa i jej ograniczeń prawnych.

Studiami otwieracie furtkę-drzwi-wrota do Europy. Jak informujecie na swojej stronie, nabór rozpocznie się wkrótce.
Otwarcie drzwi do Europy studentom ELS jest naszym celem. Pragnę przypomnieć, że dyplom uzyskiwany na naszej uczelni, jest również dyplomem unijnym. Co więcej, kierunek ELS wpisuje się w misję uniwersytetu wyrażoną słowami: „Jesteśmy częścią Wielkopolski, Polski, Europy i świata." Nabór na studia rozpoczynamy z dniem 1 czerwca, kiedy to uruchomiony ma zostać ogólnouniwersytecki system rekrutacji.

To będą studia płatne?
W swym założeniu studia te będą płatne, a opłata roczna, zgodnie z zarządzeniem rektora UAM, wynosić będzie 6000 zł za rok.

Więcej na www.uniwersyteckie.pl

Przemoc to nadal temat tabu

Od wielu lat z niepokojem obserwujemy nasilanie się zjawiska przemocy. Mimo, że w mediach często o niej się mówi, to nadal jest tematem tabu. Dlaczego tak jest? O tym z **Michałem Sieńskim,** psychologiem z Wydziału Psychologii i Kognitywistyki, rozmawia Jagoda Haloszka.

Jaka jest powszechność przemocy?
Trudno dobrze oszacować skalę tego zjawiska, ponieważ dużo takich sytuacji nigdy nie zostało oficjalnie zgłoszonych. W Polsce z danych policyjnych wynika, że w roku 2019 było ponad 88 tys. toczących się procedur Niebieskiej Karty, z tego 61 tys. to nowe zgłoszenia. W ogólnej liczbie toczących się postępowań 65 195 to te, w których ofiarą przemocy jest kobieta. Poziom niedoszacowania tego zjawiska w oficjalnych statystykach obrazują badania prowadzone w krajach Unii Europejskiej – ich wyniki wskazują, że doświadczenie różnych form przemocy może dotykać od 33% do 43% kobiet po ukończeniu 15 roku życia.

FOT. ARCHIWUM

Co cztery sekundy kobieta staje się ofiarą przemocy, tylko jednak co piąta zgłasza to na policję. Dlaczego tak jest?
Myślę, że jest to bardzo złożona kwestia. U części osób wynika to z trudności ekonomicznych. Wydaje się, że równolegle z kwestiami socjalnymi występują kwestie natury emocjonalnej. Wyobraźmy sobie, że taka relacja trwa wiele lat, więc powiedzmy sobie to wprost, zerwać ją nie jest łatwo. Osoby doświadczające przemocy często mierzą się z dużą ambiwalencją uczuć do swojego partnera. W takich sytuacjach miłość miesza się z lękiem i nienawiścią. W wielu przypadkach, szczególnie, gdy dana osoba doświadczyła podobnych krzywd w domu rodzinnym, związek z partnerem stosującym przemoc może stanowić jedyny znany sposób funkcjonowania w relacjach z bliskimi. Ujawnienie problemu innym osobom spoza rodziny napawa wtedy lękiem, że w końcu doprowadzi to do rozpadu rodziny.

Jednak dość często jest tak, że partnerka lub partner, którzy stają się ofiarami, szukają winy w sobie.
Może to mieć różne przyczyny. Na podstawie mojego zawodowego doświadczenia mogę powiedzieć, że to jest pytanie, które w ogóle dotyczy nie tylko ofiar przemocy w rodzinie, ale także ludzi, których życie obrało niekorzystny kierunek i znaleźli się na przysłowiowym zakręcie. Być może w niektórych przypadkach paradoksalnie łatwiej jest wziąć odpowiedzialność za bolesne zdarzenia na siebie, bo to daje poczucie, że mamy kontrolę nad swoim życiem. Przy czym rzeczywistość bywa odmienna – wiele rzeczy w naszym życiu może być skutkiem zbiegu okoliczności czy przypadku. Jestem daleki od ocen moralnych, niemniej z perspektywy społecznej sprawa jest jasna: niezależnie od pobudek, osoba, która zachowuje się agresywnie, jest odpowiedzialna za skutki takiego zachowania. A osoby, które doświadczyły agresji, powinny być otoczone troską i wsparciem.

Co w takim razie sprawia, że pozostała część osób doznających przemocy jest w stanie powrócić do normalnego funkcjonowania ze stosunkowo niewielkim uszczerbkiem na zdrowiu psychicznym?
Warto zadać sobie pytanie, dlaczego ludzie doświadczają przemocy w rodzinie? Oczywiście są na to różne odpowiedzi. Widzimy jednak pewną tendencję, że dziewczynki, które doświadczyły przemocy w rodzinie, szczególnie na wstępnym etapie życia, przejawiają większe ryzyko, aby stać się ofiarami. Jeśli chodzi o chłopców, to oni mogą stać się sprawcami przemocy. Badania wskazują, że odporność na negatywne konsekwencje psychiczne budowana jest w oparciu o stabilne emocjonalnie relacje z innymi osobami. Jeżeli dziecko wychowywało się w rodzinie z problemami, ale miało bezpieczną, stabilną relację z kimś ze swojego otoczenia (z rodzeństwem, dalszą rodziną, dziadkami, rówieśnikami czy nauczycielem) zwiększa się jego szansa na wyjście z tego typu doświadczeń bez poważnego uszczerbku.

Jakie czynniki zwiększają ryzyko wielokrotnej wiktymizacji, a jakie przed nią chronią?
Czynniki, które zwiększają ryzyko wielokrotnej wiktymizacji to z pewnością wczesne doświadczenia przemocy i zaniedbania, wzrastanie w rodzinach dysfunkcjonalnych, niestabilni emocjonalnie, cierpiący na trudności psychiczne i uzależnienia opiekunowie, a w konsekwencji rozwój sztywnych, negatywnych przekonań o sobie, innych i świecie, jak również pojawienie się w wyniku wydarzenia traumatycznego poważnych zaburzeń dysocjacyjnych, takich jak PTSD (zespół stresu pourazowego). Natomiast czynniki, które chronią w sytuacji doświadczenia obciążających wydarzeń, to: stabilne emocjonalnie relacje, skorzystanie z wczesnego wsparcia dla osób z grupy ryzyka, np. socjoterapia czy też szybka interwencja psychologiczna i psychiatryczna w razie wystąpienia trudności emocjonalnych, szczególnie zaburzeń dysocjacyjnych oraz udział w psychoterapii.

Więcej na www.uniwersyteckie.pl

Archiwum codziennego życia

Archiwa zazwyczaj gromadzą takie dokumenty, które postanowiono chronić, bo wydawały się być – z jakiegoś powodu – istotne. Dzięki nim możemy ustalić prawo własności do nieruchomości; to, o czym pisali do siebie ludzie znani nam tylko z podręczników historii; sprawdzić strukturę budżetu Poznania w końcu XIX wieku i jak ubierali się ludzie w latach 30-tych ubiegłego wieku. Nie inaczej jest z Archiwum Badań nad Życiem Codziennym (ABŻC).

Powołali je do życia socjologowie z UAM w 2014 roku, przy wsparciu Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki. Jak każde archiwum, również to chroni i udostępnia cenne dokumenty z przeszłości. Jak każde archiwum ma ono swoją specyfikę. Polega ona przede wszystkim na tym, że gromadzone są tu materiały z jakościowych badań dotyczących życia codziennego Polaków, realizowanych przez przedstawicieli nauk społecznych i humanistyki od przedwojnia do współczesności.

W zbiorach ABŻC – obejmujących dziś ponad 1000 pozycji i składających się z blisko 100 tysięcy stron – znajdziemy raporty, prace magisterskie i doktorskie, książki i artykuły, ale przede wszystkim surowe materiały badawcze: dokumenty osobiste, wywiady, mapy, karty obserwacji i inne zapisy pobytu badaczy w terenie. Poza dokumentami pochodzącymi z klasycznych projektów badawczych (m.in. „Życiorysy bezrobotnych" z 1938 r., „Pamiętniki mieszkańców Ziem Zachodnich" z 1977 r., materiały z badań nad mieszkalnictwem prof. Anny Rębowskiej), w archiwum można znaleźć ogrom fascynujących, a mniej znanych prac naukowych poświęconych życiu codziennemu (np. pamiętniki z kolekcji redaktora Jana Bijaka; projekty badań Floriana Znanieckiego nt. uczciwości i nieuczciwości w funkcjonowaniu instytucji publicznych; cykle prac magisterskich realizowanych pod kierunkiem prof. Andrzeja Kwileckiego i prof. Zygmunta Dulczewskiego, a także surowe materiały z badań realizowanych w latach 50. i 60. XX wieku przez pracowników Instytutu Zachodniego).

Jak organizowali sobie życie ci, których przesiedlono i ci, którzy stracili pracę? O czym ludzie rozmawiają w zakładach fryzjerskich i jakie role odgrywają miejskie bazary i małe sklepiki? Co wypełnia wyobraźnię Polaków, jak ze sobą rozmawiają, czy są zabobonni i kiedy przeklinają? Jak mieszkają nasi rodacy, co jedzą, piją i jak przyjmują oni gości? Co tworzy światy sędziów, kierowców ciężarówek, pracowników zakładów pogrzebowych, doradców ślubnych i akwizytorów? Czym jest grzeczność w sieci i kiedy dajemy lajki? Jak ludzie zawiązują pary, zakochują się i wyrażają miłość? Na czym polega codzienność w szpitalach, więzieniach czy na morskich statkach? Na te pytania odpowiedzieli już kiedyś badacze, zaś zespół tworzący archiwum stara się rezultaty ich wysiłków chronić przez zniszczeniem i zapomnieniem, opracowywać i udostępniać tak, by ponownie stawały się one ważnym źródłem informacji.

Cyfrowe repozytorium zbiorów Archiwum Badań nad Życiem Codziennym zostało przygotowane we współpracy z Poznańskim Centrum Superkomputerowo-Sieciowym (PCSS) oraz Wielkopolską Biblioteką Cyfrową (WBC). Dzięki wsparciu obu tych instytucji, nasze archiwum posiada nie tylko przeszukiwalną bazę zdigitalizowanych materiałów, ale także unikatowy układ słów kluczowych, które łączą archiwizacyjne (miejsce odnalezienia, liczba stron, autorzy, rok powstania etc.) i problemowe (opisywane kategorie społeczne, towarzyszące wydarzenia historyczne, zakres anonimizacji, informacje o projekcie etc.) podejście do zapoznawania się z ich treścią.

FOT. P. LUCZYS

Archiwum Wydziału Socjologii UAM

Twórcy archiwum bardzo liczą, że jego zbiory staną się nie tylko skarbnicą fascynujących opowieści na temat codzienności Polaków, ale również ważnym źródłem informacji dla osób prowadzących na ten temat badania, punktem wyjścia dla rekonstrukcji zmian w naszym życiu, obyczajach, sposobach zamieszkiwania, obchodzenia świąt i myślenia o świecie. Już teraz ze zbiorów archiwum, poza socjologami, korzystają historycy, antropologowie, kulturoznawcy, a nawet artyści.

Warto dodać, że zespół archiwum nie tylko stara się stale poszerzać zbiory, wyszukując i opracowując nowe materiały, ale prowadzi też własne badania.

Zachęcamy do korzystania ze zbiorów archiwum. Zgromadzone w nim materiały dostępne są dla każdego online, pod adresem: www.archiwum.edu.pl. Zachęcamy też członków społeczności uniwersyteckiej do dzielenia się informacjami na temat prowadzonych w przeszłości badań nad codziennością w Polsce, do przekazywania tego rodzaju dokumentów i do kontaktu z zespołem ABŻC.

Marek Krajewski
Piotr Luczys

O Ginczance najczęściej myślę: Zuzanna…

Z prof. Izoldą Kiec, literaturoznawczynią z Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu, rozmawia Magda Ziółek

FOT. ADRIAN WYKROTA

Pani profesor, mam takie wspomnienie z czasów moich studiów polonistycznych na UAM. Pamiętam dźwięk dzwoneczka, który pani towarzyszył, gdy przemykała pani korytarzem Collegium Novum. Czy to była spódnica z dzwoneczkami, czy coś innego… W każdym razie to musiała być jakaś magia, bardzo panią wtedy podziwialiśmy…
Ja coś takiego nosiłam? Nie pamiętam… Najczęściej, kiedy spotykam moich studentów z tamtych czasów, to wspominają, że nosiłam buty w kwiatki. Muszę się mocno nad tym zastanowić. Może to był jakiś pasek z dzwoneczkiem? Pamiętam, że dzwonek nosiłam na zajęcia z kabaretu, kiedy mówiłam o Piwnicy Pod Baranami. Dzwoniłam wtedy na rozpoczęcie i zakończenie wykładu. Zresztą, proszę sobie wyobrazić, że ten dzwonek do dzisiaj funkcjonuje w moim domu. Wyciągam go na Święta Bożego Narodzenia…

Dzisiaj pani nazwisko kojarzone jest z Zuzanną Ginczanką, poetką, okresu międzywojnia, muzą skamandrytów. Czy pamięta pani pierwsze spotkanie z jej poezją?
Ginczankę „poznałam" jeszcze w liceum. Przez przypadek znalazłam w moim domu tomik jej poezji. Moja mama kolekcjonowała różne serie poetyckie. Wśród nich znalazło się takie maleńkie, kieszonkowe wydanie Ginczanki w serii Poeci Polscy Czytelnika. Kiedy znalazłam się na polonistyce, o Ginczance nie usłyszałam nic. Przez wiele lat o niej milczano, nie były drukowane tomiki jej wierszy, nie było jej też w podręcznikach historii literatury. Jeśli już gdzieś pojawiało się jej nazwisko, to we wspomnieniach jako gwiazdy przedwojennej cyganerii. Gdy czytałam te wspomnienia, po raz pierwszy pomyślałam, żeby napisać o niej, to był może koniec studiów. Chodziłam wówczas na seminarium prof. Jerzego Ziomka i pisałam pracę o Halinie Poświatowskiej. Tak się akurat złożyło, że w tym czasie pojawiło się pierwsze wydanie biografii Gombrowicza „Jaśnie-panicz" autorstwa Joanny Siedleckiej. Pamiętam, że rozmawialiśmy z profesorem o tej książce na zajęciach. Prof. Ziomek słynął z tego, że uwielbiał opowiadać różne anegdoty, ploteczki. Miał wśród swoich przyjaciół i znajomych wiele znanych osób, nam to bardzo imponowało. Padało jakieś nazwisko, a on mawiał: tak, oczywiście znam i tu opowiadał nam jakąś anegdotkę. W „Jaśnie-paniczu" Ginczanka pojawia się jako towarzyszka Gombrowicza z czasów, kiedy bywał w warszawskiej kawiarni Zodiak. Pomyślałam wtedy, że można by poszukać innych jej wierszy, zająć się biografią, która wtedy była znana szczątkowo.

I poszła pani z tą propozycją do prof. Jerzego Ziomka? Nie bała się pani?
Nie od razu. Kiedy dostałam się na studia doktorskie, zaczęłam przemyśliwać różne możliwości. Faktycznie, bałam się zaproponować profesorowi Ginczankę, bo wydawało mi się, że to trochę za „mały" temat jak na doktorat, ryzykowny, bo nie było wiadomo, co kryje się w archiwach. Wymyśliłam, że zajmę się poezją Powstania Warszawskiego, ale prof. Ziomek na wszystkie moje pomysły kręcił nosem. I tak, już naprawdę na koniec, trochę załamana tym jego nastawieniem, zaproponowałam, że zajmę się Ginczanką. A on zareagował bardzo emocjonalnie, ucieszył się i na potwierdzenie wyrecytował mi wiersz „Zdrada". Dopiero potem powiedział mi, że dostał go od pewniej kobiety, która mu się bardzo podobała. Dla niej nauczył się go na pamięć. Na koniec naszej rozmowy podsumował: „bardzo proszę, masz taką śliczną Ginczaneczkę". Ten doktorat napisałam dzięki wsparciu profesora; w trudnych chwilach, kiedy próbowano odwieść mnie od tego, był dla mnie tarczą i wsparciem. I mimo, że rok później zmarł, do dziś podkreślam jego udział w tej pracy; mówię, że był on promotorem Ginczanki i moim.

Jak rozumiem, to musiała być taka trochę detektywistyczna praca? Jak się pani w tym odnalazła na początku lat 90? Nie korzystaliśmy wtedy z Internetu, komunikatorów, telefon był urządzeniem stacjonarnym…
Miałam to szczęście, że do pracy przystąpiłam w 1989 roku. Dzięki temu trafiłam do ludzi, którzy pamiętali Ginczankę. Dziś już nikt z nich nie żyje, zatem to był ostatni moment, aby się z nimi spotkać i porozmawiać. Na początek sięgnęłam do „Jaśnie-panicza" Siedleckiej i wypisałam sobie nazwiska osób, które widywały ją w Zodiaku. Zaczęłam sprawdzać, kto jeszcze żyje, do kogo mogę się zwrócić. To był taki łańcuszek. Pierwszą postacią, do której się zgłosiłam, był Eryk Lipiński. Dobrze, że zaczęłam od niego, ponieważ krótko po naszym spotkaniu zmarł. To on podał mi adresy do paru osób z kręgu jej znajomych, również tych, które znały ją z Równego Wołyńskiego. To tam Ginczanka spędziła swoje dzieciństwo. Właśnie dzięki jego pomocy trafiłam do jedynej żyjącej krewnej poetki, do Lidii Nogid-Varsano. Odwiedziłam ją w Paryżu, gdzie od wielu lat mieszkała. To był splot wielu różnych okoliczności. Okazało się, że była to niezwykle majętna osoba. Jej mąż handlował cukrem w trakcie wojny. Kiedy spotkałyśmy się, okazało się, że niewiele pamięta. Wzruszyło ją jednak,

że zajmuję się Zuzanną i zaproponowała, że pokryje wszystkie koszty związane z drukiem książki. To ona sfinansowała wybór poezji „Udźwignąć własne szczęście", który przygotowałam jeszcze przed obroną doktoratu. To był 1991 rok i żadne wydawnictwo w tym czasie nie wydrukowałoby mi tej książki. Mogłabym tylko o tym pomarzyć. Dziś myślę, że ten tomik przywrócił Ginczankę szerszemu gronu czytelników. Do dziś spotykam osoby, które twierdzą, że poznały ją właśnie dzięki temu wyborowi wierszy.

Myślę, że była pani odważna podejmując się tego zadania. Miała pani przecież zaledwie dwadzieścia parę lat…
To było dla mnie bardzo ważne. Oczywiście wiązałam swoją przyszłość zawodową z uczelnią, ale z czasem doktorat przestał być moim jedynym celem. Poznawałam osoby z kręgu znajomych Ginczanki. Widziałam ich wzruszenie, gdy mówili o swojej młodości, o tej pięknej kobiecie, którą los postawił na ich drodze. To było niesamowite – tak jakby przeszłość ożywała. Dzięki tym spotkaniom moi rozmówcy odnawiali dawne znajomości, pisali do mnie o tym. Taką osobą, którą wspominam z dużym wzruszeniem, jest Tadeusz Błażejowski – pierwsza sympatia Ginczanki. Z panem Tadeuszem bardzo się zaprzyjaźniliśmy, spotkaliśmy się kilka razy, o Zuzannie opowiadał mi ze łzami w oczach. Kiedy przygotowywałam najnowszą biografię „Nie upilnuje mnie nikt" uświadomiłam sobie, że nie mam żadnego zdjęcia Tadeusza Błażejowskiego. Skontaktowałam się w tej sprawie z jego synem. Umówiliśmy się w Muzeum Literatury w Warszawie. Pan Witold przywitał mnie: „witam moją siostrę". Okazało się, że Tadeusz pisał dziennik i w nim nazywał mnie „swoją córeczką". To było wzruszające. W ten właśnie sposób połączyły się dwie sfery mojego życia: ta bardzo osobista i ta naukowa.

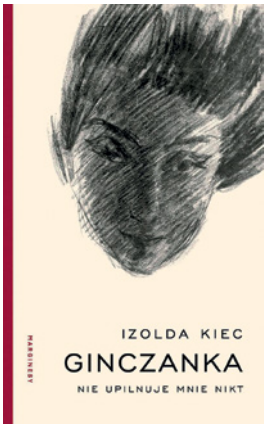

W ostatnim czasie pisanie o Ginczance stało się modne. Wyobraźnię rozbudza jej przynależność do cyganerii warszawskiej. Podobno podkochiwali się w niej Tuwim, Gombrowicz…
Pojawianie się w jej towarzystwie imponowało wielu mężczyznom. Pytanie, czy było coś więcej? Mam w swoim archiwum list Tadeusza Wittlina, który napisał do mnie w latach 90. z Waszyngtonu. Mówi on mniej więcej tak: „Widywaliśmy się w redakcji Szpilek, w różnych kawiarniach i – mogę zaręczyć – nikt z nas nigdy nawet jej nie pocałował". W najnowszej biografii zwracam na to uwagę. Tworzą się jakieś legendy wokół jej osoby, ale dziś już trudno ocenić, na ile są prawdziwe. Mówi się np. że miała wielu kochanków. Niedawno rozmawiałam z Leną Piękniewską, która ma w repertuarze utwory Ginczanki, opowiadała mi jak Jan Śpiewak (wnuk poety Jana Śpiewaka, który znał Ginczankę) wyznał jej, że jego dziadek miał romans z Ginczanką. Jak to dobrze mówić o tym teraz, kiedy ona nie może odpowiedzieć, przyznać się do tego, że kochała albo zaprzeczyć. Niesprawiedliwe jest pokazywanie jej jako femme fatale. Trzeba czytać jej wiersze, aby zobaczyć te wszystkie obawy, które w niej były. Ona była bardzo ostrożna w związkach z mężczyznami. Udało mi się dotrzeć do adresata jej ostatniego wiersza „Maj 1939". To po Tadeuszu Błażejowskim jest osoba, z którą, wydaję się, wiązała największe nadzieje. Nie chcę mówić, czy kochała, czy to uczucie było odwzajemnione, ale to na pewno był to ktoś jej bliski.

Czy to był powód, dla którego nie uciekła z kraju po wybuchu II Wojny Światowej? Ta decyzja kosztowała ją życie.
To była bardziej skomplikowana historia. Józef Łobodowski namawiał ją do tego, aby wyjechała do matki, do Hiszpanii. Na co ona ponoć roześmiała się i powiedziała: „to już wolę zostać z babcią". Drugi mąż matki Zuzanny, Walter Roth, był od niej dużo młodszy. Jan Śpiewak powiedział kiedyś wprost, że matka Zuzanny obawiała się konkurencji ze strony córki, dlatego uciekła z nowym mężem za granicę. Walter bardziej pasował na partnera dla urodziwej córki. Poza tym Zuzanna była bardzo przywiązana do swojej babki. I to chyba był powód, dla którego nie chciała wyjeżdżać.

Dlaczego Ginczanka jest tak popularna. Co jest w tych wierszach, że trafiają do kolejnego pokolenia czytelników/czytelniczek?
Znam osoby, które nie czytają Ginczanki i interesują się wyłącznie jej życiorysem. Na zainteresowanie jej osobą na pewno wpływa też niesamowita biografia i tragiczna śmierć. Sporo osób zaczęło się interesować Ginczanką po książkach Agaty Araszkiewicz. To ona wprowadziła ją w dyskurs feministyczny. Po książce „Wypowiadam wam moje życie. Melancholia Zuzanny Ginczanki" powstało środowisko krytyczek literackich, które obrały sobie Ginczankę jako patronkę. Pamiętajmy jednak, że mówimy o wierszach, których ona nikomu nie chciała pokazać i trzymała je w rękopisach. Te wiersze są nam znane dlatego, że wyjeżdżając z Warszawy w czerwcu 1939 roku zostawiła je w swoim mieszkaniu. Kiedy we wrześniu było już wiadomo, że nie wróci, Eryk Lipiński zabrał te rękopisy. Prawdopodobnie nie chciała ich publikować i traktowała je jako skarbnicę metafor, sformułowań, które umieszczała w innych swoich wierszach. Dzisiaj krytycy literaccy często mówią o odwadze, z którą pisała o biologii, o tym wszystkim, co ukrywamy za konwencją i obyczajem. Musimy zadać sobie pytanie, ile było takich kobiet – autorek, które pisały dla siebie i nie zostało to do dzisiaj ujawnione.

15 kwietnia ukazała się pani najnowsza książka „Nie upilnuje mnie nikt".
Wiele obaw towarzyszyło mi przy pisaniu tej książki. Kiedy wydawnictwo Marginesy zwróciło się do mnie z pytaniem, czy zgodziłabym się na wznowienie monografii „Zuzanna Ginczanka. Życie i twórczość", tej, która była moją pracą doktorską, nie zgodziłam się, zbyt wiele czasu upłynęło. Zaproponowałam, że napiszę coś nowego. Pani mówiła wcześniej o odwadze, myślę, że odwagą było to, że trzydzieści lat temu podjęłam się tego zadania. Ale wówczas nie istniały pewne dylematy – ani we mnie, ani w zakresie ówczesnej metodologii. Dopiero dzisiaj zastanawiam się nad tym, jakie mam prawo, aby mówić o cudzym życiu. Wówczas byłam bardzo naiwna, wierzyłam we wszystko, co mi mówiono. Pewnie dlatego nie widziałam tego, co dziś widzę bardzo wyraźnie – dramatu samotności Ginczanki. Myślę, że na tym też polega ta różnica – wtedy wydawało mi się, że Ginczanka była wśród ludzi, a dzisiaj widzę, że była sama. Dlatego bardzo zależało mi, aby na okładce tej książki znalazł się portret Ginczanki, który narysował Andrzej Stopka na krótko przed jej śmiercią. Udało mi się go zdobyć z prywatnej kolekcji; niestety, nie mogę ujawnić nazwiska właściciela. Chciałam pokazać ją inaczej, bez uśmiechu, który dla mnie jest maską, pod którą ukrywała smutek.

Więcej na www.uniwersyteckie.pl

PIÓRO JEST WIECZNE

Z **prof. Aleksandrem Wojciechem Mikołajczakiem,** filologiem klasycznym, autorem książki „Design kleksa. Społeczna historia wiecznych piór" wydanej przez Wydawnictwo Naukowe UAM, rozmawia Ewa Konarzewska-Michalak.

FOT. ADRIAN WYKROTA

Pierwsze wieczne pióro, jakie dostałam było na naboje. Pan pisał w szkole obsadką ze stalówką. Czy od tego czasu zaczęła się pana miłość do piór?
Należę do pokolenia, które uczyło się pisać obsadką, czyli piórem maczanym w kałamarzu. Dopiero potem, tak jak pani, zetknąłem się z piórami wiecznymi z cienkimi stalówkami, które w późnych latach 60. i 70. uchodziły za luksus. To były dobre pióra - wbrew temu, co niektórzy mówią. Chińskie pióro hero kopiowane z amerykańskiego parkera 51 doskonale nadawało się do nauki pisania i dla wielu jest pierwszym wspomnieniem używania wiecznego pióra. Jego oryginalna nazwa oznacza po chińsku: stu bohaterów.

Obliczyłam, że historia wiecznego pióra liczy sobie ok. 130 lat. To bardzo krótko w porównaniu z piórami ptasimi, czy trzcinami do pisania, których używano przez wieki. Czy bez rewolucji przemysłowej wieczne pióra by nie powstały?
Rewolucja przemysłowa wydaje się być kluczem do zrozumienia zaistnienia wiecznych piór. Po pierwsze, umożliwiła technologię, która pozwoliła takie pióra produkować, a poza tym sama ich wymagała. Dobrym tego przykładem jest budowa linii kolejowych w Stanach Zjednoczonych, gdzie po raz pierwszy wykorzystywano zarządzanie ludźmi na odległość. Pracowali oni wzdłuż tysięcy mil torów - aby ich nadzorować, inżynierowie musieli być mobilni, a z kałamarzem i maczanym piórem jest to trudne. Pióro, które można było mieć w kieszonce marynarki, rozwiązywało wszelkie problemy.

Historia wiecznego pióra jest jak błysk - pióro święciło triumfy w XX wieku, ale już w drugiej połowie tego stulecia zaczął wypierać je plebejski długopis.
Można powiedzieć, że długopisy zabiły pióra, ale na krótki czas. Największy rozkwit piór przypada na lata 20. i 30. XX wieku. Długopisy pojawiły się po wojnie. Wydawało się wtedy, że pióra odejdą do lamusa, ale w ostatnich dekadach zmieniła się ich funkcja. Przestały być przyborami codziennego użytku, a w dużej mierze stały się przedmiotami luksusowymi. Są wykorzystywane do manifestowania statusu, ich ceny czasem są zawrotne, nie mówiąc już o piórach produkowanych w jednym czy w dwóch egzemplarzach np. Cartier Panthèra. Z drugiej strony mamy tendencję do powrotu piór do szkoły. Pisanie nimi to szlachetna sztuka. Jak widać, pióra wieczne żyją jakby w dwóch wymiarach

Podkreśla pan w książce, że to czym się pisze, ma wpływ na to, jak się pisze, czyli nie tylko my kształtujemy rzeczy, również one kształtują nas. Jak wieczne pióra zmieniły człowieka?
To niezwykle ważne pytanie, które odwołuje się do tego, że dla pisarzy w różnych okresach historycznych nie było obojętne, czym piszą. Przypomnę choćby włoskiego poetę Gabriele D'Annunzio. Mówił on, że wiersze może pisać tylko piórem ptasim, które unosi i porywa. Natomiast jak pióra wieczne kształtują ludzi? Klips – sprężynka umożliwiająca utrzymywanie pióra w kieszeni - pojawił się nie tylko po to, by pióro ustabilizować, ale również po to, by właściciel mógł się nim pochwalić. Pióra były drogie, pokazywały status właściciela. Kształtowanie człowieka przez pióro wieczne jest również związane z pewną uważnością na rzeczy, które mówią: jesteśmy cenne, ważne dla ciebie, nie wyrzucaj nas. To skłania do spojrzenia na świat z ekologicznej perspektywy i odrzucenia jednorazowych przedmiotów, np. długopisów, które tylko zaśmiecają otoczenie. Ostatnio pojawił się w humanistyce nurt badań, nazwany zwrotem ku przedmiotom, który usiłuje zrozumieć cywilizację i człowieka poprzez rzeczy, a dokładnie interakcje między nimi. Książkę napisałem właśnie tym w nurcie. Staram się poprzez pióra powiedzieć dużo o XX wieku, o przemianach społecznych, kulturowych, technologicznych i ekonomicznych, bo pióra doskonale je odbijają.

Zwróciłam uwagę, że „Design kleksa…" jest napisany językiem przyjaznym dla zwykłego czytelnika, co rzadko zdarza się w przypadku książek naukowych. Dlaczego wybrał pan taki styl?
Dziękuję, że pani to doceniła. Lekkość lekturowa to jest cecha, do której dążę, gdyż uważam, że teksty humanistyczne są przede wszystkim narracjami, opowiadaniem o świecie. To opowiadanie powinno być ciekawe dla czytelnika, żeby zechciał podążać za myślą autora i ją zrozumieć. Forma literacka tekstu naukowego jest u nas troszeczkę zaniedbana, a zwrócę uwagę, że wielka humanistyka francuska opiera się głównie na narracji, jako największej sile sprawczej. Przypomnę, że również o tym mówiła w noblowskiej mowie nasza laureatka, która zwraca uwagę, że narracja porządkuje świat. Jeśli jest chropawa, to świat również jest chropawy. Myślę, że po wielu latach doszedłem do wniosku, że piękno tekstu naukowego jest tak samo ważne, jak jego treść. Idę trochę na przekór dominującego trendu w humanistyce polskiej i cieszę się, że czytelnicy to doceniają.

Historie, jakie pan opisuje, są niezwykle ciekawe. Rywalizacja między Watermanem i Parkerem uświadamia, że pióra są wytworem drapieżnego kapitalizmu, choć trudno się tego z początku domyślić. Jak pan sądzi?
Te historie pokazują cechę zachodniej cywilizacji, jaką jest rywalizacja. Z rywalizacji wziął się kapitalizm, a pióro jest jego wytworem. Trudno oczekiwać, żeby pióra nie odzwierciedlały walki reklamowej, technologicznej, która cechowała szczególnie amerykańskich producentów. Wszystko to było bardzo silnie związane z chęcią zysku, ale z drugiej strony ta chęć rozwijała również technologię. Jest to bardzo zachodnie spojrzenie na rozwój cywilizacji.

Lewis Edson Waterman udoskonalił pióro wieczne, które wymyślił Frank Holland, zupełnie nieznany człowiek. Czy tak było w istocie?
Pragnę zwrócić uwagę na jedną rzecz - pióra Franka Hollanda przeciekały i właściwie nie nadawały się do użytku. To, co Waterman naprawdę wynalazł, to spływak – maleńką część, która jest pod stalówką. Wykorzystał kapilarność żłobień na plastiku i to zapobiegło wyciekaniu atramentu. Można powiedzieć, że dokonał kluczowego przełomu - jest wynalazcą nowoczesnego spływaka, ale nie wiecznego pióra. Samo wylansowanie marki Waterman wiązało się z legendą kleksa, którą opisuję w książce. Do dziś firma jej używa, żeby przyciągnąć klientów, choć nie jest już firmą amerykańską - ta zbankrutowała w 1954 roku, przejęła ją filia francuska, która pod tą marką produkuje pióra we Francji.

Wydaje mi się, że watermany były eleganckimi piórami, natomiast późniejsze amerykańskie pióra były bardziej zwyczajne. Jak pan sądzi?
Nie do końca bym się z tym zgodził. Na przykład na pióra Sheaffera patrzę z zupełnie innej perspektywy, dlatego że wyrażały wartości konserwatywne środkowych stanów USA. Ich stalówki zawsze były znakomite, wszystko było idealnie dopracowane i tym różniły się od watermanów, które były dobre, ale nie idealne. Ważnymi miejscami były miasteczka, które rozwijały się wokół fabryk piór. Wschodnie wybrzeże, tam, gdzie tworzył Waterman, było nastawione na walkę konkurencyjną bez oglądania się na kwestie moralne. Natomiast Sheaffer był twardym protestantem, który przykładał wielką wagę do moralności. Bardzo istotny jest tu również aspekt religijny. Pióra „protestanckie" różnią się np. od piór „katolickich". Typowym piórem protestanckim, wręcz ascetycznym jest np. Parker 51 zaprojektowany przez Laszlo Moholy-Nagy. Chodziło w nim o wygodę i pewnego rodzaju praktykę pisania, natomiast nie o przepych i piękno.

Monografia ukazała się nakładem Wydawnictwa Naukowego UAM

To zatem jakie są pióra „katolickie"?
Katolickość pióra można oceniać z różnych stron. W zbiorach Muzeum Archidiecezjalnego w Krakowie mamy znakomite pióro Pelikan 400, które Karol Wojtyła nabył w pierwszych dniach swojej biskupiej posługi. Dziś to relikwia drugiego stopnia, to znaczy taka, którą posługiwał się przez wiele lat święty człowiek. Katolicka może być również stylistyka, np. włoscy producenci, tacy jak Aurora, Tibaldi, produkują dziś pióra okolicznościowe, edycje limitowane dedykowane np. papieżom, świętym. Pióro staje się nośnikiem pewnego przekazu religijnego i artystycznego. Jego funkcja pisarska nie ma już znaczenia, liczy się wygląd. To aspekty jeszcze do przebadania - mieści się tu i historia marek, np. dlaczego pióra niemieckie, takie jak Pelikan produkowany w Hanowerze, są nieco inne od piór włoskich, które są piękne, ale nie tak doskonałe technicznie. Pelikany są produkowane w etosie protestanckim - dokładnie, z dbałością o szczegóły, niekoniecznie piękne. Natomiast pióra włoskie - wręcz przeciwnie, zarzuca się im, że nie są tak doskonałe technicznie, ale za to dużo ładniejsze, pełne fantazji.

Pana książka to pionierska w Polsce monografia poświęcona wiecznym piórom i jedna z pierwszych na świecie...
Ja bym tak nie powiedział. W Polsce jestem pierwszym autorem, którzy napisał książkę na ten temat, natomiast na świecie takich pozycji jest bardzo dużo. To, co uważam za pewne novum, to spojrzenie na pióro z punktu widzenia designu i jego wpływu na aspekt ekonomiczny, społeczny czy kulturowy wiecznych piór. Spojrzałem na historię XX wieku przez pryzmat wiecznych piór, ten mały przedmiot stawiając w centrum i sprawdzając, co można przez niego dostrzec.

Sam jest pan kolekcjonerem. Które z pana piór są szczególne?
To trudne pytanie, bo mam w swojej kolekcji pióra związane z konkretnymi osobami, które mają historię osobistą. Mam pióro Waterman Tapariti, które należało do Henry'ego Pleasentsa, jednego z najbardziej wpływowych krytyków muzycznych lat 60. Co ciekawe, był on również szefem placówki wywiadowczej CIA w Szwajcarii, a być może również, pierwowzorem Feliksa Leitera, amerykańskiego szpiega, który pomaga Bondowi w różnych sytuacjach. Pióro jest o tyle ciekawe, że zachowało się tylko jedno zdjęcie właściciela, który ma je w kieszonce marynarki (jest łatwe do rozpoznania po specyficznym klipsie). Mam również pióro, które dostałem od przyjaciół z Bułgarii, należące przed laty do jednego z najwybitniejszych filozofów ezoterycznych Nikołaja Dojnowa. Historia jego życia była niesamowita. To są pióra, z którymi jestem najbardziej związany emocjonalnie.

Norwegolożka

Była stypendystką rządu norweskiego, a w jej pracy magisterskiej pojawiły się przesłuchania policyjne z kryminalnych powieści Jo Nesbø i Jo Lier Horsta. Prowadzi poczytnego bloga o Norwegii i jest autorką świetnej książki o tym kraju. Kto taki? Moja rozmówczyni: **Anna Kurek-Przybilski** z Wydziału Neofilologii UAM.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Niektórzy twierdzą, że w Norwegii można zakochać się czytając „Świat Zofii" Josteina Gaardera lub oglądając ekranizację „Księgi Diny". A pani norweska pasja? Czy rozpoczęła się od „Świata Zofii", dramatów Ibsena czy może od podróży na daleką północ?
Moja pasja zaczęła się od podróży na daleką północ… palcem po mapie. A właściwie po globusie. Mając kilkanaście lat pomyślałam, że bardzo chciałabym nauczyć się języka jakiegoś północnego kraju. Kocham zimę i języki obce, więc było to połączenie tych dwóch rzeczy. Zaczęłam więc przesuwać palcem po globusie i tak właśnie trafiłam do Norwegii. Wtedy w internecie nie było jeszcze tylu materiałów co obecnie, więc zamówiłam sobie pierwszy podręcznik do norweskiego, włożyłam dołączoną do niego płytę do odtwarzacza… i zupełnie przepadłam. To była miłość od pierwszego usłyszenia! Samą Norwegię pokochałam natomiast po mojej pierwszej podróży i teraz wracam na północ regularnie. Najchętniej za koło podbiegunowe, chociaż lubię też odwiedzać inne części kraju.

Zatem domyślam się skąd u pani pomysł na studia skandynawistyczne? Nie wiem jednak, dlaczego w Poznaniu?
Gdy już postanowiłam, że chciałabym dowiedzieć się więcej o języku norweskim, zaczęłam szukać uczelni, które oferowały ten kierunek. Do wyboru miałam Gdańsk i Poznań, ale po wizycie na dniach otwartych w Katedrze Skandynawistyki postanowiłam, że będzie to jednak Poznań. Rekrutacja na filologię norweską nie odbywa się co roku, więc musiałam czekać rok po maturze, by dostać się na wymarzony kierunek. Na szczęście udało się!

Jak wyglądają takie studia? Domyślam się oczywiście, że studenci intensywnie uczą się na nim języków, ale poza tym?
Nauka norweskiego to priorytet, ale są to studia filologiczne, więc nie brakuje przedmiotów literaturoznawczych i językoznawczych. Trzeba pamiętać o tym, że studiując filologię uczymy się głównie o języku – nie jest to kurs językowy. Poza konwersacjami trzeba więc też uczyć się fonetyki czy gramatyki opisowej. Gdy ja studiowałam, bardzo duży nacisk kładziony był również na drugi język germański, w moim przypadku angielski. Ważne są również treści związane z literaturą, kulturą i historią Skandynawii. Doskonale pamiętam zajęcia z fonetyki języka norweskiego na I roku, ponieważ była to dla mnie wtedy kompletna nowość, a jednocześnie ćwiczenia i nagrania wymowy były dobrą zabawą. Musieliśmy wielokrotnie powtarzać różne dźwięki, później czytać całe zdania czy łamańce językowe. Zaliczenie przedmiotu polegało na przeczytaniu pewnych słów i zdań, które następnie były nagrywane i bardzo szczegółowo oceniane. Niektóre rymowanki zapadły mi w pamięć tak bardzo, że nadal jestem w stanie je wyrecytować o każdej porze dnia.

Napisała pani ciekawą książkę o Norwegii pod intrygującym tytułem „Szczęśliwy jak łosoś". Skąd pomysł na tytuł i na tę książkę w ogóle?
Tytuł to nawiązanie do norweskiego wyrażenia „być szczęśliwym łososiem" (en glad laks). Norwegowie często są postrzegani (i słusznie!) jako jeden z najszczęśliwszych narodów na świecie, więc nawiązanie do tego wyrażenia dobrze pasowało do książki o Norwegii i Norwegach, pisanej z bardzo subiektywnej perspektywy. Sam pomysł na książkę narodził się częściowo z bloga [norwegolozka.com – przyp. autorki] i częściowo z obserwacji poczynionych podczas podróży na północ. Nie jest to przewodnik po tym kraju, ani książka naukowa, ale raczej forma felietonu, w którym opisuję Norwegię widzianą moimi oczami.

Co w Norwegii i Norwegach urzeka panią najbardziej?
Oczywiście natura i przepiękne widoki, na które możemy się natknąć w dowolnym miejscu w kraju. Najwięcej turystycznych „must see" znajduje się na zachodzie kraju oraz na Lofotach, ale warto odwiedzić również mniej popularne miejsca. Ja zawsze polecam północ Norwegii, gdzie coraz łatwiej można dostać się z Polski. W Norwegach z kolei cenię przywiązanie do regionalnych tradycji, ale też do dialektów, mimo że te drugie często sprawiają mi problemy – i pewnie innym obcokrajowcom również. Wiele osób, mimo że na piśmie posługują się jednym z dwóch standardów języka norweskiego, w mowie bardzo często pozostaje przy swoim dialekcie. I nie ma znaczenia, czy ktoś mieszka na wsi czy w większym mieście – dialekty są powszechne, a do tego bardzo cenione, co słychać też w radiu i telewizji. Politycy i osoby znane bardzo często mówią dialektami, nie starając dopasować się do wymowy z Oslo. Co więcej, zmiana dialektu bywa bardzo źle widziana!

Aleksandra Polewska-Wianecka

Jestem z tych, co budują...

8 maja decyzją jury konkursu Medale Młodej Sztuki została wyróżniona jako najbardziej obiecująca wielkopolska animatorka kultury. Z **Katarzyną Walą** z Uniwersyteckiego Studia Filmowego rozmawia Magda Ziółek.

FOT. MONIKA BLOCH-BEDNARCZYK

Czy ta nagroda była dla ciebie zaskoczeniem?
Zaskoczyło mnie określenie „młoda sztuka", bo mój życiowy licznik dawno przekroczył graniczną liczbę 35 i teraz wchodzę w etap tej drugiej, dojrzałej młodości. Na początku pomyślałam, że to pomyłka. Ale jak doczytałam później, kategoria animatorów kultury jest wiecznie młoda i tutaj liczby graniczne nie obowiązują. I słusznie, bo dla mnie animacja kultury jest synonimem innowacji społecznej, „młodego ducha", otwartego na ludzi i ciekawego świata. I bardzo się cieszę, że kapituła konkursu wprowadziła kategorię animacja kultury pośród kategorii artystów i twórców indywidualnych, bo to odzwierciedla zmiany, zachodzące na styku kultury i społeczeństwa. Oznacza wiarę w moc i potencjał kultury, która rodzi się oddolnie, na podwórkach, na ulicach, w małych społecznościach.

Czy jest coś takiego jak gen aktywizmu, czy to raczej kwestia wychowania? Kiedy zorientowałaś się, że jesteś dla innych?
Podchodzę do świata utylitarnie. Mój aktywizm wynika z obserwacji rzeczywistości, z braku, z niedoboru i rodzących się potrzeb. Kiedy widzę, że coś nie działa, zastanawiam się, jak mogę to naprawić. Wychowałam się w wśród idealistów i pasjonatów. Pochodzę z małej miejscowości, moje środowisko było bardzo niejednorodne, od nauczycieli, rolników, robotników po artystów. Każdy z nich reprezentował inny światopogląd i postawy życiowe. To różnorodne środowisko sąsiedzkie i rodzinne mnie ukształtowało. To tam zobaczyłam ten charakterystyczny rozłam. Ludzi, którzy są sobie bliscy, których łączy wspólna idea, ale każdy z nich ma inny pomysł, jak dotrzeć do celu. W małych miejscowościach droga do włodarzy jest skrócona, nie ma tylu pośredników. Dlatego bardzo szybko zrozumiałam, że sama mam moc sprawczą. Ale sprawczość to za mało, aby działać, trzeba też wziąć za swoje działania odpowiedzialność. Dlatego nie jestem z tych, którzy tylko krytykują, to nie moja bajka. Jestem z tych, co budują. A narzędzia do budowania materii społecznej dostarczyła mi antropologia kultury. Studiowałam na UAM. Tam poznałam różnorodne, wyjątkowe osobowości, niezwykłą kadrę naukową, prawdziwych pasjonatów. Ale po studiach przez wiele lat czułam się… ofiarą antropologii kulturowej, bo dała mi ona relatywizm kulturowy. Moje granice empatii do świata, ludzi, zjawisk zaczęły mnie przerastać. Wieczne relatywizowanie odbierało mi możliwość sprawnego działania. Z czasem nauczyłam się nad tym narzędziem panować. Dojrzałam.

A potem, jeśli dobrze pamiętam, zamieszkałaś na Wilczaku i zaczęłaś zmieniać zastaną rzeczywistość. Dobrze mówię?
To nie był mój świadomy wybór, to trochę przypadek, na Wilczak zaprowadziło mnie moje macierzyństwo. Wspominam o tym, bo to właśnie społeczna rola matki popchnęła mnie do działania. Wilczak był nowo wybudowanym osiedlem; młodą, rodzącą się społecznością. Taki lokalny Dziki Zachód. Społeczność musiała określić zasady współżycia. A brak przestrzeni wspólnej i zabudowa osiedla nie sprzyjały współpracy i budowaniu relacji. Dzieci nie miały przestrzeni do zabawy. Osiedle ogrodzono siatką, postawiono ochroniarza i się zaczęło. Ochroniarz okazał się zresztą piromanem. Trzy razy podłożył ogień w garażach podziemnych. Brak miejsc parkingowych spowodował walkę między kierowcami i pieszymi. Napięcie społeczne rosło. I wtedy z sąsiadami zaczęliśmy działać na podwórku. Pierwsze spotkanie, sąsiedzka jajecznica, kino garażowe. I tak zaczęła tworzyć się społeczność.

Ale po drodze były też jakieś większe rzeczy, Parady Sobótkowe, Park Szelągowski?
Mobilny Dom Kultury Szeląg 100 lat wcześniej, to bardzo ważne działanie, związane z rewitalizacją społeczną parku z pozostałościami historycznych zabudowań. W procesie rewitalizacji wykorzystałam narzędzie rekonstrukcji fotograficznej. Wypożyczamy stroje z teatru. Bywalcy Szeląga wcielają się w postacie sprzed wieku. Ubierają stroje, a my robimy im stylizowane zdjęcia. Staram się, aby ta zabawa w retro była komentarzem do zjawisk społeczno-gospodarczych. Na początku w czasach konsumpcji i dobrobytu Retro Piknik odbywał się pod hasłem Belle Epoque, następnie Piknik Bloomerek – pierwszych kołowniczek i cyklistów sprzed wieku, to działo się przy okazji stulecia praw kobiet itd. A Parada Sobótkowa to stara poznańska tradycja, zapomniana. Dzięki źródłom historycznym udało mi się ją odnaleźć a dzięki przychylności różnych środowisk urzędniczych, marynistycznych i lokalnych działaczy udało wdrożyć się w życie.

Ale rozumiem, że tych projektów nadal jest cała masa…
Tak, choć chciałabym mniej animować (bo to trochę ulotne działanie), a w końcu skoncentrować się na pisaniu. Czuję potrzebę nazwania, zdefiniowania pewnych zjawisk. I to jest mój cel.

Studentka z burżuazyjnym pochodzeniem

Pierwszym czytelnikiem jej debiutanckiej powieści był Stanisław Barańczak. To on polecił jej zanieść rękopis prosto do wydawnictwa. Po wielu latach Tadeusz Konwicki powiedział, że jej „Dzienniki" są świetną literaturą. A profesor Bartoszewski zachwycił się „Kobietą zbuntowaną". **Z Krystyną Koftą** rodowitą poznanianką, pisarką, publicystką i absolwentką UAM, rozmawia Aleksandra Polewska-Wianecka.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Nim zapytam o studia na poznańskiej polonistyce, chciałabym chwilę porozmawiać o pani młodzieńczych planach związanych z Sorboną…
Życie w PRL-u nie podobało się ani mnie, ani mojej ówczesnej przyjaciółce Małgosi, więc zaczęłyśmy na serio planować przyszłość we Francji. To było w czasach licealnych. Miałam wtedy, nazwijmy to romans, z pewnym Francuzem, który był bardzo bogaty. Wymyśliłam sobie, że wyjdę za niego za mąż, zamieszkam we Francji, wkrótce potem się rozwiodę, zyskam już jakieś pieniądze i wówczas będę sobie mogła spokojnie studiować na Sorbonie.

Jednak po maturze rozpoczęła pani studia w Toruniu.
Tak, bo ukończenie toruńskiej Akademii Sztuk Pięknych dawało duże szanse na nostryfikowanie dyplomu we Francji. Po maturze w poznańskim Liceum Plastycznym, wówczas im. Franciszka Bartoszka (skądinąd znakomitej szkoły) rozpoczęłam studia na toruńskim Wydziale Sztuk Pięknych. Wspomniana przyjaciółka Małgosia również. Przez pierwsze trzy miesiące gorliwie brałam udział w zajęciach. Było ich sporo: rzeźba, rysunek, zajęcia z planowania przestrzennego itp. Jednak z czasem zaczęły mnie męczyć. Zdałam sobie sprawę, że to zmęczenie może oznaczać, że jednak sztuki piękne wcale nie są drogą dla mnie. Uznałam, że gdyby rzeczywiście były moją największą pasją, znosiłabym lepiej zajęcia, które mnie męczyły i nudziły. Wtedy też przyszedł dzień, w którym poczułam, że straszliwie wręcz brakuje mi książek i czasu na lekturę. Przestałam chodzić na uczelnię. Razem z Małgosią zostawałyśmy w akademiku. Mieszkałyśmy w niedużym pokoju. Sześć dziewczyn na dwóch trzypiętrowych łóżkach. Parzyłyśmy w metalowych kubkach bardzo mocną herbatę i czytałyśmy pasjami. Postanowiłam przerwać studia w Toruniu, wrócić do Poznania i zdawać na polonistykę. Nie wróciłam jednak do domu rodzinnego (mieszkaliśmy na Jeżycach, na ul. Sienkiewicza), ale zamieszkałam w domu Małgosi. Moja matka była nadopiekuńcza, a ja koniecznie chciałam być niezależna. Nie powiedziałam im, że opuściłam Toruń. Mieszkałam w Poznaniu, w tej samej dzielnicy, w której oni mieszkali i nie zdradziłam się ani słówkiem. Zrezygnowałam z Sorbony, bo tata miał kolejny zawał i nie chciałam być daleko.

Czy zdając egzaminy na polonistykę miała pani skonkretyzowane plany zawodowe? Czy już wtedy myślała pani, by zostać pisarką?
Przede wszystkim kochałam literaturę, ale tak, myślałam także o tym, że będę pisać. Zresztą ja wcześnie zaczęłam pisać. Kiedy miałam 8 lat dostałam pierwszą nagrodę za tekścik. Była to historyjka opublikowana w Świerszczyku, ale zaginęła na szczęście! (Śmiech.)

Dlaczego na szczęście? Moim zdaniem to wielka szkoda! Pamięta pani egzaminy wstępne?
Poszłam na nie z moim przyszłym mężem. [Mirosławem Koftą – profesorem psychologii, bratem Jonasza Kofty – przyp. autorki.] Wtedy jeszcze narzeczonym, bo wyszłam za mąż na I roku studiów. Przyznam, że przed egzaminami nabrałam wątpliwości co do tego, czy w ogóle powinnam stu-

diować. Pytałam samą siebie, czy to mi jest do czegokolwiek potrzebne. Jednak Mirek był oburzony, wyrzucał mi, że nie mam ambicji i nie pozwolił mi zrezygnować. Później, gdy miałam egzamin komisyjny z gramatyki opisowej, nie tylko poszedł ze mną na egzamin, ale wepchnął mnie do sali, w której się on odbywał. Następnie zamknął drzwi, a potem przytrzymał, żebym nie mogła uciec. Polonistyka dość szybko okazała się „moim miejscem". W programie studiów były oczywiście przedmioty, które trudno było lubić, ale dawałam sobie radę.

Poproszę o przykład takiego przedmiotu.
Gramatyka opisowa choćby. To trzeba było po prostu wykuć, żeby zdać. Uważałam, że to dziedzina zupełnie nierozwojowa. Poza tym nie lubiliśmy się z wykładowcą, zatem dodatkowo obawiałam się, że nie zdam. Postanowiłam, że nie podejdę do egzaminu w ustalonych terminach, tylko przystąpię od razu i dla bezpieczeństwa do egzaminu komisyjnego. Zdałam go. Ciężkim przedmiotem był również język starocerkiewnosłowiański, jednak lubiłam te zajęcia ze względu na wspaniałą panią profesor Gruchmanową. Na naszym roku była grupa Chińczyków i oni najlepiej sobie radzili: mówili po starocerkiewnosłowiańsku! Uważaliśmy, że szkolą ich na szpiegów. Był także obowiązek przeczytania w ciągu roku 380 lektur.

To jest w ogóle fizycznie możliwe? 380 lektur plus zaliczenia i egzaminy?
Nie, to nie jest fizycznie możliwe. (Śmiech.) Sporo z tych lektur jednak znaliśmy z wcześniejszej edukacji. W tamtych czasach czytało się książki, bardzo dużo lektur, klasykę polską i obcą.

Promotor pani pracy magisterskiej powiedział, że czyta się ją jak powieść i że pochłonął ją jednej nocy. O czym traktowała?
O „Podróżach" Jana Potockiego. Chciałam pisać o jego „Pamiętniku znalezionym w Saragossie", ale mój promotor prof. Alojzy Sajkowski powiedział wtedy, że „Pamiętnik" mam sobie zostawić na pracę habilitacyjną, bo to jest materiał na habilitację. Kiedy zdawałam egzamin magisterski, byłam w siódmym miesiącu ciąży. Profesor tego nie zauważył. Zdziwił się, gdy zobaczył mnie z wózkiem na spacerze, skąd wzięło się to dziecko. I dlaczego nic nie powiedziałam.

Jakie wspomnienia z okresu studiów są w pani pamięci najbardziej wyraziste?
Twarze ludzi, moich rówieśników z roku. Wspomnienia tego, jak byliśmy razem, jak się przyjaźniliśmy, spędzaliśmy ze sobą mnóstwo czasu. Po zajęciach chodziliśmy do restauracji „Lubuska" i tam rozmawialiśmy ze sobą bez końca. O literaturze, kulturze, filozofii, o życiu. Dzisiaj młodzi ludzie już tak nie funkcjonują, mają media społecznościowe, to jest świetne, jednak kontakt osobisty był wspaniały. Pamiętam też, jak w 1968 roku uciekaliśmy przed milicją w Collegium Maius. Schroniliśmy się na samej górze, w tej wieżyczce. Kiedy w zeszłym roku odwiedziłam ten gmach, w związku ze zorganizowanym na wydziale polonistyki „Dniem z Krystyną Koftą", wszystko ożyło. Byłam bardzo poruszona tą sesją, świetnymi referatami, dyskusją. Zwiedzałam Poznań, spotkałam się z moim kolegą profesorem Wydrą i przyjacielem, pisarzem Janem Komolką, którzy przyszli na spotkanie. Czas nagle się cofnął. W poznaniakach płci obojga jest coś takiego naturalnego w kontaktach, co trudno znaleźć gdzieindziej. Rok 68 pokazał, kto jest kim w naszym środowisku, zarówno wśród studentów, jak i wśród kadry uczelnianej. Była np. wśród nas dziewczyna, przewodnicząca samorządu na naszym roku, nazywaliśmy ją „sołtyską", która nagle zaczęła otwarcie manifestować swoją niechęć wobec „syjonistów"; był wykładowca języka fińskiego, na którego zajęcia uczęszczałam, który wręcz chciał mierzyć nam wszystkim czaszki, jednak on uchodził za wariata… Wspomnę też, że mój wniosek o przyjęcie na studia miał duże szanse na to, by go odrzucono. Wszystko przez to, że w formularzu, który należało wypełnić i dołączyć do dokumentów, była rubryka „pochodzenie społeczne", a ja wpisałam, że mam pochodzenie…drobnomieszczańsko-burżuazyjne! (Śmiech.) W tamtych czasach! Komisja weryfikacyjna ponoć bardzo się uśmiała, ale później zasiadający w niej prof. Ziomek powiedział mi, że gdyby wniosek trafił na inne osoby weryfikujące, przez to pochodzenie byłby odrzucony.

W latach sześćdziesiątych studentem polonistyki był również Stanisław Barańczak. Nie studiowaliście Państwo na tym samym roku, ale przyjaźniliście się.
Mój mąż i ja przyjaźniliśmy się ze Staszkiem i z jego żoną Anią. Maszynopis wystukany na maszynie był moim debiutem, nosił tytuł „Wizjer". Rękopis Staszek czytał jako pierwszy. Trochę obawiałam się, że ze względu na naszą przyjaźń będzie chciał być miły i nie będzie obiektywny, nie powie mi, że powieść jest kiepska, jeśli kiepska mu się wyda, ale on ocenił ją bardzo dobrze. Powiedział, żebym od razu poszła z tą powieścią do wydawnictwa, każde ją weźmie, że nie było dotąd w naszej literaturze takiej postaci kobiecej jak moja Fausta z „Wizjera". Bardzo mnie to ucieszyło, bo miałam pełne zaufanie do jego smaku literackiego. Zaniosłam rękopis do „Czytelnika". Został wydany.

Chciałabym jeszcze zapytać o Poznański Czerwiec 1956 roku. Zbliża się kolejna rocznica, a pani książka „Wióry" opowiada właśnie o nim. Jak go pani zapamiętała?
Właśnie dokładnie tak, jak przedstawiłam to w „Wiórach". Wszyscy byli wtedy razem. Bez względu na poglądy, zamożność, wykształcenie itp. Mój brat pracował w Zakładach Cegielskiego, mama bardzo się o niego martwiła. Podsłuchiwałam rozmowy dorosłych. Wiedziałam, że jest niebezpiecznie, ale nie pamiętam, żebym się bała. Pamiętam radość, nadzieję, poczucie wspólnoty. W mojej opinii Poznański Czerwiec był ważniejszym punktem w naszej drodze do niepodległości i demokracji nawet od wybuchu Solidarności w '80 roku. Był to pierwszy, bohaterski zryw, krwawo okupiony, w czasach znacznie cięższych niż późniejsze bunty. Ze Związkiem Radzieckim w tle. Ten haust wolności odczuwały nawet małe dzieci z naszego poznańskiego podwórka. Dla mnie to była przez lata inspiracja. Czerwiec pojawia się w wielu moich książkach. Pewnego dnia ojciec wziął mnie za rękę i poszliśmy pod gmach ubezpieczalni przy ul. Dąbrowskiego. Na dachu budynku były umocowane urządzenia, które zagłuszały audycje radia Wolna Europa. Jacyś ludzie weszli na dach, zaczęli je rozmontowywać i zrzucać na dół. Na ulicy stał tłum i za każdym razem, kiedy kolejne elementy „zagłuszacza" lądowały na ziemi, wołał radośnie: „O!". Później ludzie brali sobie na pamiątkę po kawałeczku zniszczonych urządzeń. A to jakąś śrubkę, a to kawałek części. My też coś wzięliśmy, nie pamiętam już co.

Rok XXVII, numer 7 (260)
INFORMATOR WYDZIAŁOWY
Wydział Matematyki i Informatyki UAM, ul. Umultowska 87, 61–614 Poznań
kwiecień 2020

Historia jednego listu...

Co miesiąc, dokładnie o tym samym czasie, dociera do redakcji biała koperta, formatu A5, starannie zaklejona, z nienagannie zaadresowanym frontem. I tak od wielu, wielu lat... „Życie Uniwersyteckie" przez ten czas wielokrotnie zmieniało adres; nadawca jednak niestrudzenie odnajdywał je na mapie uniwersytetu, śląc kolejną kopertę.

Proszę wybaczyć mi ten nieco książkowy wstęp – jest on jednak konieczny, aby wyjaśnić przyczyny, dla których „na warsztat" wzięliśmy „Informator Wydziałowy" ukazujący się na Wydziale Matematyki i Informatyki. Jeśli coś jest zawsze, uznajemy to za pewnik, nie dociekając, skąd się wzięło. A to właśnie w całej tej historii jest ciekawe…

Powstanie Informatora przywodzi na myśl Skamandrytów i ich zachwyt nad odzyskaną ojczyzną. „Radość z odzyskanego śmietnika" – mówiono ponoć z przekąsem. Ale z tej radości powstało tyle cudownych wierszy, które dokumentowały entuzjazm pierwszych dni w wolnym kraju. Podobnie i w tym przypadku pierwszy numer ukazał się z radości nad nowo stworzonym wydziałem.

FOT. ŁUKASZ WOŹNY

Prof. Roman Murawski

– Rozpoczynamy nowy rok akademicki – pisze w październiku 1993 prof. Michał Karoński, ówczesny dziekan – w nowej sytuacji: staliśmy się niezależnym Wydziałem Matematyki i Informatyki. Niezależność ma swoje zalety i wady. Z jednej strony zwiększa się zakres naszych suwerennych decyzji dotyczących działalności naukowej i dydaktycznej, uzyskujemy szeroką reprezentację w Senacie UAM oraz lepsze perspektywy pozyskania środków finansowych.

Jak wieść niesie, to właśnie prof. Michał Karoński wpadł na pomysł, aby stworzyć „wewnętrzny" biuletyn. Zadanie to powierzył dwóm młodym pracownikom nowopowstałego wydziału: Maciejowi Kandulskiemu i Romanowi Murawskiemu. – Niestety, ponieważ właśnie wyjeżdżałem na stypendium Humboldta, do zespołu mogłem dołączyć dopiero w maju 1994 roku– tłumaczy prof. Roman Murawski. – Po moim powrocie przez moment pracowaliśmy razem, ale wkrótce okazało się, że prof. Kandulski intensywnie przygotowuje swoją habilitację, wyłączył się na moment …i tak już zostało. Z biegiem czasu zacząłem traktować to pisemko jak kronikę wydziałową. Zresztą nie tylko ja. Mam wrażenie, że już od wielu lat Informator funkcjonuje na wydziale jako takie właśnie źródło wiedzy. Wiem, że koledzy często sięgają do niego przy pisaniu sprawozdania z projektów lub grantów.

Bo aż trudno uwierzyć, ale Informator to w dużej części dzieło jednoosobowe. Policzyliśmy: skoro jesteśmy w 27 roku funkcjonowania czasopisma, oznacza to w przypadku profesora (zaczął z rocznym poślizgiem) 26 lat nieprzerwanej pracy i blisko 300 numerów zapisanych wydarzeniami z życia wydziału. A ile to godzin pracy? – To jest kwestia systematyczności, ja po prostu lubię to robić – odpowiada prof. Murawski. – Na co dzień zajmuję się logiką matematyczną i podstawami matematyki, a od pewnego czasu również filozofią i historią matematyki. W związku z tym nie odczuwam tego jako ciężaru. Kluczem do sukcesu jest to, że staram się wszystko przygotowywać na bieżąco.

Jak mówi, kiedy coś czyta, przygotowuje się do zajęć itp., towarzyszy mu swego rodzaju czujność: „czy to może przydać się do kolejnego numeru". Informacje gromadzi przez cały miesiąc, w pewnym momencie siada i składa w całość. Dawniej sygnałem do pracy było posiedzenie rady wydziału, dziś nie jest to już tak wiążąca data. Mimo tego stara się trzymać wyznaczonych terminów. W praktyce oznacza to, że numer ukazuje się na początku miesiąca. Na całość składają się wydarzenia bieżące, ogłoszenia, sprawozdania z konferencji, relacje z wizyt gości i wyjazdy zagraniczne pracowników, ale także odpowiedni cytat i krótka notatka poświęcona historii matematyki.

Żaden kraj z ambicjami nie może być krajem analfabetów matematycznych

Immanuel Kant

– Chodziło o to, aby ożywić trochę treść pisemka – mówi prof. Murawski. - Tak aby nie były to tylko same suche informacje. Chcieliśmy dać trochę oddechu naszym czytelnikom. Cytaty są dwojakie. Jedne komentują aktualne wydarzenia, drugie są głęboko filozoficzne. Natomiast w przypadku notatek historycznych pomysł wziął się z faktu, że matematycy kiepsko orientują się w historii matematyki. Zdarza się, że studenci lub doktoranci wybierają przedmiot historia matematyki, ale nie jest to niestety powszechne. Moim celem była w pewnym sensie edukacja kolegów. Staram się w krótkiej, przystępnej formie przedstawić im wydarzenia z przeszłości, znane postacie, często pretekstem jest rocznica urodzin, śmierci…. Mam wrażenie, że jest to dobrze odbierane. W każdym razie nie słyszałem protestów.

Prof. Murawski słynie też na wydziale jako niestrudzony propagator słowa pisanego. Zachęca kolegów do pisania sprawozdań z konferencji, recenzji książek – jak mówi, ze zmiennym skutkiem. Na przeszkodzie stoi nieszczęsna „punktoza", która sprawia, że nie każdy może poświęcić swój czas na publikacje w niepunktowanym czasopiśmie.

Od początku istnienia Informatora, szata graficzna pozostaje niezmieniona: składają się na nią poziome kreski oddzielające działy, żadnych ozdobników, zdjęć czy rysunków. – Jestem konserwatystą i lubię stałość – mówi redaktor naczelny. – Szata jest bardzo skromna i robimy to całkiem świadomie. Nam, matematykom, obcy jest blichtr, wagę przywiązujemy raczej do meritum, do treści.

Magda Ziółek

Więcej na www.uniwersyteckie.pl

NOWA KOLEKCJA

z cytatami
dostępna w Sklepie UAM!

Postaw na **ekobutelkę**
(idealną na wodę ze źródła
lub miejskich rur)
i **bawełnianą torbę**.

W kolekcji także inne
gadżety
z **Mickiewiczem**,
który wie, co mówi!

Zapraszamy na zakupy na

sklep.uam.edu.pl

Kolekcja zaprojektowana przez sklepzcytatami.pl

UAM Życie Uniwersyteckie
UAM POZNAŃ nr 6 (322) czerwiec 2020

Wydawca:
Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu
Rektorat, 60-712 Poznań,
ul. Wieniawskiego 1

redakcja@amu.edu.pl
www.uniwersyteckie.pl

Redaktor naczelny: Krzysztof Smura, krzsmu@amu.edu.pl
Sekretarz redakcji: Magda Ziółek, magdazio@amu.edu.pl
Redakcja: Ewa Konarzewska-Michalak, Jagoda Haloszka, Maria Rybicka,
Współpraca: Filip Czekała, Aleksandra Polewska, Przemysław Stanula
Foto: Adrian Wykrota, adrwyk@amu.edu.pl
Korekta: Maria Nowak

Adres redakcji: ul. Święty Marcin 78 (2 piętro), 61-809 Poznań
Biuro redakcji: Ewa Konarzewska-Michalak

Druk: Drukarnia Kolumb, Katowice, www.drukarniakolumb.pl

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów, zmiany tytułów.
Za treść zamieszczanych ogłoszeń, reklam i komunikatów redakcja nie odpowiada. Zapraszamy do wszechstronnej współpracy.

Numer do druku oddano 15 maja 2020 r.

ZDJĘCIA: STANISŁAW OSSOWSKI

#WobiektywieŻycia

Minęło 25 lat od chwili odebrania przez Wisławę Szymborską tytułu Doktor Honoris Causa UAM.

– Prawie każda poezja, a moja na pewno, czerpie siły ze źródeł niezbyt krystalicznych. Z pomyłek życiowych, z wątpliwości, z głupstw najprzeróżniejszych, z wiedzy gromadzonej chaotycznie i nie dającej się nigdy uporządkować. No i wreszcie, z dobrych chęci, którymi, jak wiadomo, piekło jest wybrukowane – mówiła 15 maja 1995 r. Wisława Szymborska.